AS



Czerwony kapturek

ANNABELLA

Nr. 48 27 XI 1938

ZBIGNIEW PEC

Wang Tse

S · Z · K · I · C

Upalne powietrze drga od wrzawy głosów. W słupie rudej kurzawy, skrzypiąc przeraźliwie, obracają się powoli wielkie drewniane koła wozów, wiozących uchodźców i ich dobytek. Idą powoli czarne wychudłe bawoły, uprząż chrzęści, słychać gardłowe nawoływania woźniców i krótkie chlaśnięcia skórzanych batów.

Po obu stronach drogi w ulewie wysokobrzmiących głosów i znagła wybuchających kłótni, tłoczy się wielobarwny tłum pieszych.

Wang-Tse stoi na progu swojego domostwa i patrzy na przeciągający drogą, zda się bez końca, sznur wozów.

Idą przed nim z gorączką w oczach i piętnem głodu na twarzach, zgarbieni pod brzemieniem worów, zawierających cały ich dobytek, — mieszkańcy wsi „Białego Wodospadu", „Kwitnących Drzew" i tylu innych, których nazw nie zna nawet ze słyszenia.

Wang-Tse trzyma w ręku białą jedwabną wstążkę z wypisaną na niej modlitwą. Ma iść na groby rodziców, ale nie idzie. Biały kask tropikalny nie chroni go dostatecznie przed prostopadle prawie padającemi promieniami słonecznemi. Przesłania oczy ręką i patrzy na wzgórza, na wyschłe tarasy pól pokryte sztywno sterczącą szczotką słomy ryżowej. Życiodajny szlam wysechł i popękał, z tarasów nie sączą się jak dawniej łyskliwe strugi wody. W dolinie, gdzie płynął strumień, stoją znieruchomiałe w martwocie śmierci rude zarośla bambusów.

Między niebem a ziemią wisi mgła pyłu, a przez nią prześwieca czerwono słońce pory gorącej.

Wargi Wang-Tse poruszają się:

— Gdyby choć jedna chmura! Deszczu, deszczu...

Na wspomnienie chmury *), mimo obrazu, który ma przed sobą, serce zaczyna mu bić żywiej. Znów widzi czarne oczy Czi-Len, patrzące nań z pod długich rzęs jak wtedy, gdy spotkał ją po raz pierwszy na granicy pól, obok grobów rodzinnych. Zatapia się we wspomnieniu tak dalece, że słyszy nawet głos ptaka yan, jak wtedy.

Głośniejszy okrzyk i złudzenie pryska. Niema Czi-Len i nie rozbrzmiewa głos ptaka yan. Jest tylko mrowiąca się rzeka ludzi i zwierząt — i — słońce upalne i bezlitosne, opisujące odwieczny łuk nad wzgórzami. Coś trzyma w zaciśniętej ręce, to biała wstążka jedwabna z wypisaną na niej modlitwą. Prawda! Ma iść pożegnać groby rodziców. Wychodzi na żar podwórza.

— Ho-Yun! Ho-Yun! — woła.

Gdzież on się podział? Szuka daremnie chłopca i nawołuje. Może poszedł do Tangów?

Mija szumiącą głosami rzekę uchodźców i idzie szybko wzdłuż drogi. Dokoła płaty zeschłej murawy wydeptanej i wypasionej. Pod stopami chrzęszczą suche zapylone źdźbła. Inaczej niż przedtem brzmi wrzawa głosów, słychać w niej jakąś nową nutę, lecz on nie zwraca na to uwagi. Przechodzi obojętnie obok rzeźbionego słupa, stojącego na wzgórzu, mającego odpędzać od wsi złe duchy, a potem ścieżką polną zdąża już wprost ku grupie drzew, nad któremi sterczy dach świątyni. Stąd widać już groby. Ale Wang-Tse postanawia po drodze wstąpić do świątyni. Oto kamienne rozpalone schody i ogarnia go chłód i półmrok wnętrza. W ciszy przytłumione echo powtarza jego kroki, zewsząd z półmroku wychylają się obojętne twarze posągów, siedzących wzdłuż ścian. Idzie dalej wgłąb. Z ołtarza patrzy nań Budda, siedzący na skrzyżowanych nogach. Nieodgadniony uśmiech zastygł mu na wargach. Wszystkowiedzącego oblicza nie przesłaniają jak dawniej obłoki dymów. Odkąd w sąsiedniej wsi pojawiła się misja białych, zaczęło ubywać bonzów i wiernych. Wojny i głód dokonały reszty. Teraz niema w świątyni nikogo. — W jednem miejscu lekko uniesiony wgórę róg dachu rozsypuje się ze starości, na posadzce leżą gruz i potrzaskane lśniące błękitną polewą dachówki. Nikt ich nie sprząta. Przez otwór w dachu wciska się pęk promieni słonecznych. W ich świetle widać ciemne plamy na posągu Buddy.

Wang-Tse zbliża się doń. Czuje na sobie spojrzenia jego uczniów, siedzących rzędem pod ścianami. W milczeniu, jakie panuje dokoła, słyszy pulsowanie krwi w skroniach, a od czasu do czasu, niby oderwany fragment, daleki gwar płynącej bez końca rzeki uchodźców. — Podchodzi całkiem blisko, pod sam niemal ołtarz, jak czynił to ongi, gdy był dzieckiem. Wargi drżą mu od wzbierającej na nich modlitwy. Powraca mu wiara, jaką miał dawniej — za moment wypowiedzą modlitwę, która jest naczelną między innemi — od czasu pamiętnej godziny przedwieczornej, w której ujrzał pierwszy raz Czi-Len. Ona jest przyczyną, że Wang-Tse, dostojny przybysz z miasta, olśniewający swoich sąsiadów, prostych i ubogich chłopów chińskich, białym ubiorem europejskim — który przyjechał do wsi na wiadomość o ciężkiej chorobie ojca — pozostał dłużej niżby tego wymagały okoliczności. Upływały tygodnie. Sam nie wiedział, dlaczego zwlekał, może nie ufał sobie, ale dziś — kiedy już wszystko przygotowane do wyjazdu z nawiedzonej klęską posuchy prowincji, wie, że to nie złudzenie.

Na podwórzu przed domem Tangów, czekają dwa wozy zaprzężone w jego najlepsze woły. Pojedzie wraz z całą rodziną i odtąd Czi-Len będzie z nim zawsze. Rodzice jej o niczem nie wiedzą. Co za niespodzianka! Weźmie także Ho-Yun sierotę, który był wiernym sługą u jego ojca.

Czas płynie niepowstrzymany jak przeznaczenie.

Na prostokąt jaskrawego światła, leżący u wejścia do świątyni, pada cień. Zdyszany chłopiec bosy w bronzowym luźnym kaftanie, oślepiony słońcem, nie mogąc go dojrzeć, w półmroku nawołuje:

— Wang-Tse! Czcigodny Wang-Tse!

Wołanie podchwytują ściany i powtarzają pustce.

Tedy patrzy półwidzącemi oczyma i wreszcie dostrzega białą plamę u stóp posągu.

— Jestem! Czego chcesz Ho-Yun?

Chłopiec podbiega i mówi prędko:

— Panie! — zachłystuje się zdyszanym oddechem — przybyli ludzie ze wsi „Kamieni Granicznych"! — Przerywa i łapie znowu utrudzony oddech.

— Opowiadają, że jakieś wojska zjawiły się u nich wczoraj rano. Opowiadają... że ledwie uszli z życiem... Lada chwila mogą tu nadejść... Wszyscy uciekają....

— Wieś „Kamieni Granicznych" — jak to daleko — przerywa gwałtownie Wang-Tse.

Biegną obaj ku wyjściu. Jedwabna wstążka z wypisaną na niej modlitwą, wirując, pada na posadzkę i pozostaje tam zapomniana.

— Nie będzie więcej nad sto li! — odpowiada, biegnąc Ho-Yun. — Szukałem cię wszędzie, panie... — zaczyna tonem usprawiedliwienia. — Ale Wang-Tse nie słucha. Razem stają w bramie świątyni.

Wystarcza mu jeden rzut oka.

Na drodze spiętrzył się zator z wozów. Dziko brzmią krzyki i łajania, dolatujące z oddali. Rzeka ludzka płynie żywszym nurtem. Poprzez zawieszoną w powietrzu mgłę rudego pyłu — widać w zagrodach wieśniaczych ruch gorączkowy. Ludzie biegają bezradnie i bezcelowo, wynosząc z wnętrz domostw sprzęty i rzucając je na i tak już przeładowane wozy. Coraz to któreś podwórze pustoszeje. Zamęt wzrasta.

Wang-Tse ogarnia to wszystko jednem krótkiem spojrzeniem.

— A Czi-Len?

Lecz Ho-Yun, jakby odgadywał jego myśli:

— Byłem u Tangów, gotowi do drogi... Czekają tylko na ciebie, panie...

Wtem ostry trzask, jakby serja dalekich strzałów.

Zbiegają ze schodów świątyni, Wang-Tse w swojem białym europejskiem ubraniu, a tuż za nim Ho-Yun. Biegną naprzełaj przez spalone słońcem pola, w uszach szumi pęd, martwe łodygi z suchym szelestem pękają im pod nogami.

Strzały słychać już całkiem wyraźnie.

Prędzej! Prędzej! Widać już domostwo Tangów. A ta dziewczyna — tam — czyżby to Czi-Len?

Nowa serja strzałów przecina rosnącą wrzawę. Ho-Yun potyka się i nieruchomieje. Wang-Tse w tej samej chwili widzi obłoczki pyłu, wzbite przez kule, padającej na wyschłą na kamień ziemię. Wytryskują coraz to nowe, coraz to bliżej drogi. Wygląda to jak pył, wzbity z pod nóg jakiejś niewidzialnej istoty. O teraz znowu są niepokojąco blisko. Mimo to pędzi dalej. Z drogi dolatuje głucha wrzawa. Tam już każdy dba jeno o siebie. Wąż pieszych pęka na części — niby wyspy na wzburzonem morzu — czernieją zatory z wozów.

Dostrzega wreszcie strzelających. Jest to grupka abdartych żołnierzy, przykucnęli na szczycie wzgórza wokół karabinu maszynowego, obok jeden trzyma za udy konie.

Znowu strzelają. Znowu obłoczki dymu. Wang-Tse, ubrany w swój biały europejski ubiór, ufa, że zostanie dostrzeżony. Musi powstrzymać kanonadę i jest zdecydowany dać wysoki okup. Zdejmuje z głowy kask i daje nim znaki. Dzieje się, jak przewidział. Strzały milkną. Przyspiesza kroku. Spalona słońcem równina — wzgórza — i rude zarośla bambusów jakby przestały istnieć. Całkiem wyraźnie rozróżnia już ciemne wąskookie twarze żołnierzy. Widzi jak pokazują go sobie i coś krzyczą, coś, czego nie rozumie. Biegnie dalej wprost na nich, wtem czuje jakby pchnięcie w bok jedno i drugie. Kask wysuwa mu się z bezwolnych palców na spiekłą, popękaną ziemię — on sam z wyrazem bezmiernego zdziwienia na twarzy pada na kolana i ostatnim błyskiem gasnącej świadomości usiłuje zrozumieć, gdy sobie to uświadamia, myśleć przestaje.

* * *

Wang-Tse klęczy na rozłożonej na ziemi macie i słucha śpiewu ptaków. W ręce trzyma pendzelek, umaczany w tuszu, przed nim leży prostokąt białego papieru. Wang-Tse patrzy w przestrzeń nieruchomy, zasłuchany w śpiew ptaków. Ma napisać poemat o miłości. Oddawna myśli o nim, umie go prawie na pamięć ,a jednak karta papieru leżąca przed nim, pozostaje wciąż biała. Śpiew ptaków budzi w nim nowe myśli, trzyma więc pendzelek nieruchomo, zawieszony w powietrzu i trwa zasłuchany. Wreszcie zaczyna pisać. Wprawnemi pociągnięciami maluje znaki pisarskie, podobne do

Dokończenie na str. 24-ej.

---

*) Chmura według symboliki chińskiej wyobraża miłość.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

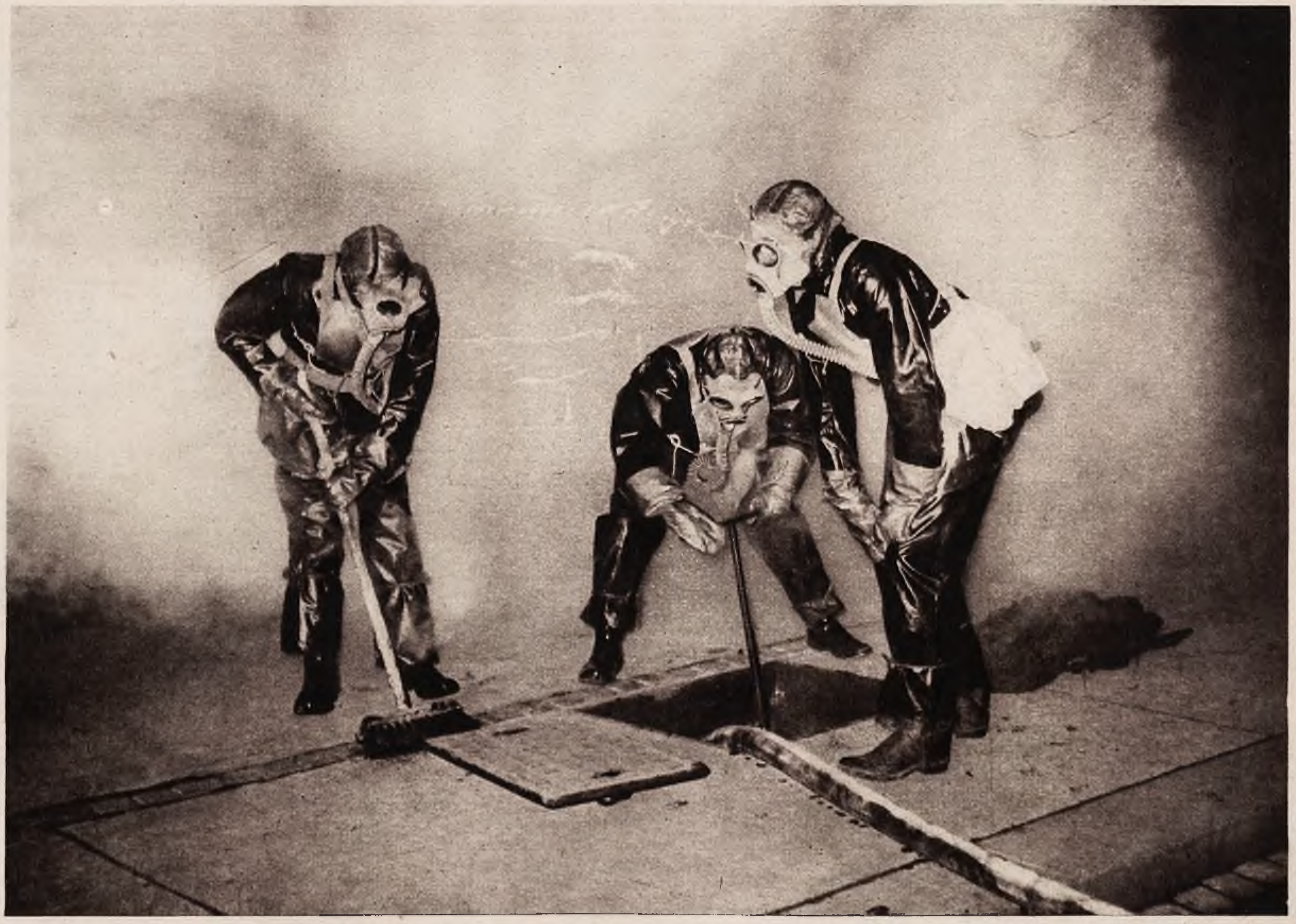
AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 48 **Niedziela, 27 listopada 1938** **Rok IV**



W związku z ciągle utrzymującymi się w Europie nastrojami wojennymi wszystkie kraje, a wśród nich i Polska, dążą usilnie do zwiększenia swej techniki obronnej. Wśród najważniejszych zadań, jakie czekają każde państwo na wypadek wojny, na plan pierwszy wybija się sprawna organizacja obrony przeciwlotniczej, której należyte funkcjonowanie kontroluje się, zarządzając co pewien czas t. zw. pogotowie O. P. L. Na zdjęciu: Drużyna ratownicza O. P. L., odkażająca miejsce upadku bomby iperytowej.

Gustaw Morcinek

Piękno ZIEMI ŚLĄSKIEJ



Lucjan Gwóźdź: „Śląski poranek" (Pierwsza nagroda).

Ziemia śląska ma potrójną urodę. Pierwsza z nich czyni ją podobną do uśmiechu zamyślonej dziewczyny młodej, kiedy marzy o pierwszem kochaniu. Druga znów do spracowanego człowieka, który na chwilę przystanął, by obetrzeć pot z czoła. A trzecia — do samotnego wędrowca, idącego białą drogą pod wysokiem niebem i szumiącemi brzozami.

I kto po raz pierwszy do niej przyjdzie, zapatrzy się urzeczony w jej przedziwną urodę. Mógł przedtem zwiedzić chociażby cały świat, mógł widzieć ziemie, które go oszałamiały swą zuchwałą czy rozpasaną urodą, mógł być niemi oczarowany czy olśniony, lecz kiedy stanie na ziemi śląskiej, stanie się z nim rzecz niepojęta. Oto serce jego, to głupiutkie serce ludzkie przemieni się w tej dziwnej chwili do niepoznania, gdyż będzie wyczuwało napływającą słodycz bezmierną, co się z Boskiego uśmiechu rodzi, myśli jego zaś staną się podobne do modlitwy chociażby na drobną chwilę. I wtedy dobrze człowiekowi znużonemu.

— Tu chciałbym dokonać żywota! — powie jeden i drugi i westchnie wzruszony.



Jan Bułhak: „Las kominów".



Józef Dańda: „Babcia śląska" (Pierwsza nagroda).

— Tu nawet słońce inaczej świeci aniżeli gdzieindziej! — powie znowu inny.

— Tu człowiek staje się innym! — szepnie w zamyśleniu jeszcze inny, zapatrzony w dolinę beskidzką.

I odtąd pójdzie za nim wszędy tęsknota za ziemią śląską, gdyż rozmiłował się w niej do niepamięci, tęsknocie tej zaś nie obroni się w żaden sposób. Będzie wracał na Śląsk, jak do kraju lat dziecinnych.

Wystarczy stanąć na którymkolwiek szczycie beskidzkim, na Czantorji czy Barańej, na Stożku czy Jaworowym, gdziekolwiek na wyniosłym groniu, by przekonać się, że ziemia ta powstała z uśmiechu Boga, jak twierdzą Ślązacy. Serce ucisza się, a zdumione oczy lecą w zamyśleniu w dalekie doliny Olzy czy Wisły i stawają się jasne jak u dziecka, gdy swą matkę dostrzeże.

Bo oto pod ich spojrzeniem rozkłada się ogromna przestrzeń na kraj świata w słońcu leżąca. Pobok Czantorji, w głąb rozwartej doliny snuje się wąski, srebrzysty paseczek Wisły, łuszczy się rozsianem złotem w słońcu, przewija miękko między wzgórzami i kępami, znika na drobną chwilkę, potem znów wycieknie srebrem i bieży i bieży, by utonąć w mglistości pod niskiem niebem. Odwrócić się za słońcem, oczy polecą w zieloną głębinę, w urzekliwą dolinę Olzy, świętej rzeki Ślązaków, przez poetów umiłowaną, w pieśniach sławioną, a w której utopce mieszkają. Od Baraniej koło Jabłonkowa, aż po Cieszyn, po wieżę Piastowską, po skalistem zębatem dnie cieknie i dzwoni szklanym bełkotem, potem wędruje już polami, powolna, stateczna mija stary Frysztat, mija Bogumin, do Odry się wlewa, gdzie po tysiącu lat znowu oparła się granica Polski.

Po obu stronach Wisły i Olzy schodzą ze wzgórzy łąki i pola. Jakby z miękkiego atłasu utkane. Między polami, w chłodnym cieniu lipowym, samotna droga śpieszy. Leci na przełaj przez wzgórza i doliny, czasem spętli się w gruby węzeł, zabieli się w słońcu, przystanie w zbiegowisku domków i znowu śpieszy. Czasem ponad rzeką czarnym mostem przebiegnie, czasem jej towarzyszy, potem w bok zawróci, potok jeden i drugi przeskoczy i znika za widnokręgiem. W pogodny dzień ponad gęstwą zielonych kęp wspina się jedna i druga wieża kościelna, od przyciesi aż po kalenicę z jodłowego drzewa zmajstrowana. Na widnokręgu zaś ważą się pod niskiem niebem rozciągnięte płachty dymu trzynieckiego, karwińskiego czy górnośląskiego.

Czasem jakieś miasto można dostrzec z wyniosłych groni beskidzkich. Malutkie domki w gromadę zgarnięte, w środku w równy czworobok wybrane — to rynek. — A potem jakby ktoś palcem w ich mrowiu

przejechał. Raz tak, potem zaś owak, na krzyż, na wspak i ulice gotowe. Ponad ich zbiegowiskiem senne dymy w powietrzu, fioletowe i przejrzyste, i znowu jedna i druga wieża z krzyżem unurzanym w słońcu.

A jeżeli zejść z groni i pójść, gdzie oczy poniosą, spotykają cię co krok nowe uradowania. Pobok ścieżyn górskich napotykasz święte źródełka. Z pod zwalistego kamienia, ze szczerbatej szczeliny lub z kępy olbrzymich paproci sączy się struga dzwoniącej wody w podłożone koryto drewniane, z jednego pnia wydłubane. A w wodzie przegląda się zielone sklepienie drzew, na dnie zaś gmerają złociste pętelki połuskanego złota.

A jeżeli zejść w doliny, mijasz wsi przeróżne o nazwach z piastowego pomyślenia się wywodzące, a brzmiące w wymawianiu jak dzwon ze starego złota. Mijasz ustronia, rozkosz dla źrenic zdziwionych, ze wzgórzy patrzysz i widzisz, że ziemia ta nie spoczywa, lecz płynie w łagodnych, miękkich ogięciach, jak ze stoków napotykanych wzniesień idzie naprzeciwko wdzięczne złudzenie dla serca, że ziemia ta naprawdę do dziewczęcego uśmiechu podobna, że w niej cisza i utajone myślenie o czemś, co radość zgorzkniałemu sercu przynosi.

W okolu starych lip modrzewiowe kościoły głoszą chwałę chwałę Bożą. Budowali je pobożni majsterkowie śląscy, co nieznani legli w mogiłach pod okapami spadzistych aż do ziemi dachów gontowych. Pragnęli swoją modlitwę przemienić w modrzewiowy kształt, a że modlitwa ich była prosta, jak prostemi były ich serca, i piękna jak piękne były ich serca, powstały więc najpiękniejsze cuda architektoniczne, swoiste, z ziemi wyrosłe, polskiem archaicznem słowem wyszeptane, zapachem macierzanki przesycone, pomniki polskiego serca i polskiej modlitwy zprzed laty.

Przygarbiły się dzisiaj modrzewiowe kościoły śląskie, jakby pochyliły do ziemi, mchami porosły ich strome dachy, robaki zwierciły ich belki i wiązania, lecz nic nie straciły ze swego szlachetnego piękna polskiego budownictwa na Śląsku.

kwiatów, mali, kudłaci chłopaczkowie w kożeżkach podzwaniają mu srebrzyście, a ludzie śpiewają te same pieśni, co śpiewali ich przodkowie przed wiekami.

I anieli w niebie radują się głośno i w święte dłonie plaskają z ukontentowaniem, jeżeli w takim modrzewiowym kościele gazdowie, gaździnki i dziewczyny w strojach śląskich rozmodleni. Oto stateczni gazdowie rozsiedli się w ławach, z lisicami na kolanach, w skórzanych żółtych jeleniokach wpuszczonych w wysokie buty, w kapotach z granatowego sukna, obszytych czerwonemi lub niebieskiemi wypustkami. Błyszczą w słońcu rzędy guzików, pod szyjami zaś czerwienią się wzorzyste chustki jedwabne. Młodsi zaś trzymają pod



Na prawo: **Wiktor Pawlak:** „Wysokie napięcia".



Jan Bułhak: „Wicher" (Druga nagroda).



Wiktor Pawlak: „Cienie" (Pierwsza nagroda).



Artur Kotisch: „Spojrzenie z góry" (Pierwsza nagroda).

Jak ongiś tak i dziś stare organy, trochę już utrudzone, te same pieśni grają, co naszym, pradziadom, na ścianach te same obrazy i polichromje, naiwne może w swym kształcie, lecz piękne w swej treści czynią modlitwę ludzką bardziej dostojną i bardziej bliższą Boga.

Ksiądz proboszcz przy ołtarzu rozmawia z Panem Bogiem po łacinie, organy mu pomagają słodkiem buczeniem, zapachy dymów kadzielnych mieszają się z zapachem pachą kanie, czarne kapelusze o szerokich strzechach.

Po drugiej stronie rozsiadły się szeroko gaździny w bogato fałdowanych sukniach, z jedwabnemi zoposkami, w barwnych broszkach, w szerokich wstęgach kwiecistych, ze sznurami korali na szyi, w purpurkach lub zgoła w koronkowych czepcach na głowach.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA
Z „WYSTAWY FOTOGRAFIKI ŚLĄSKIEJ"
W KATOWICACH.

Niemniej radują się anieli w niebie gdy na zielonym Śląsku przyjdą do kościoła gaździnki i dziewczynki w strojach, wywodzących się od Piastowych i Piastówien cieszyń-

Ciąg dalszy na str. 7-ej.

KĄCIK FILATELISTYCZNY

PRZEGLĄD NAJNOWSZYCH ZNACZKÓW



Najnowszy, okolicznościowy znaczek belgijski.

Zaniedbaliśmy nieco dział nowości zagranicznych ze względu na to, że rocznicy odzyskania Niepodległości wypadało i nowej serji jubileuszowej poświęcić dwa ostatnie numery. Teraz także reprodukujemy ostatnie dwa znaczki polskie, wydane w tym miesiącu. Jeden z nich, to egzemplarz za dwa złote, przedstawiający doskonałą w ruchu scenę walki z Powstania Styczniowego. Tak jak i w tym wypadku, tak i dla większości doskonałych projektów p. Boratyńskiego, który jest autorem wszystkich niższych wartości, seryj, format egzemplarzy jest zbyt skromny przy wykonaniu stalorytem.

Równocześnie omal ukazała w obiegu serja historyczna włoska. Ponieważ formaty są omal identyczne co w serji polskiej, możemy zwrócić uwagę na to, że przy heljograwurze, gdy cząsteczki, z których składa się powierzchnia kolorowa, są dla oka niewidoczne, można na mniejszej powierzchni przedstawić bardziej skomplikowany obraz.

Dobór barw serji polskiej też nie był specjalnie szczęśliwy, bo nie trzymano się tu żadnego schematu, i np. nocna scena walki (Powstanie Listopadowe) nie powinna była być oddana na pomarańczowo, a dla 2-złotówki nadawał się lepiej kolor zielony.

Objektywnie rzecz przedstawiając, serja włoska jest ciekawsza od polskiej, bo takie postacie jak Romulus, Cezar, Dante, Kolumb czy Leonardo da Vinci należą do historji całego świata. Cytaty zamieszczone na znaczkach pochodzą z mów Mussoliniego, którego właśnie nie możemy się doszukać nawet na egzemplarzu, przedstawiającym rewolucję faszystowską. Może prawo zabrania we Włoszech reprodukowania żyjących osób poza rodziną królewską, ale zato wyobrażamy sobie, jakie kiedyś ukazywać się będą serje z postacią Il Duce!

Na marce za 75 c. widzimy króla Wiktora Emanuela II i Garibaldiego, na 1,75 l. — pomnik Nieznanego Żołnierza w Rzymie, na 2,75 l. krzyż, pierścień cesarski, oznaki faszystowskie i łopatę, jako symbol władztwa nad obszarem Abisynji, a na 5-lirówce Wiktora Emanuela, jako monarchę, pod którego rządami Italja rozszerzyła swe panowanie nad Trypolisem, wyspą Rodos, Triestem i Etiopją.



Na prawo: Piękna serja znaczków włoskich, przedstawiająca najważniejsze momenty i najznakomitsze postacie z historji Italji, począwszy od założenia Rzymu w r. 753 przed Chr.

C. Mezzana jako kompozytor-rysownik, wykonał już piękniejszą serję rok temu w 2000-lecie Cezara Augusta, a tym razem przy znaczkach lotniczych zadowolił się tylko powtórką tych samych wartości w formatach poziomych. Sztuki za 25 c. i 3 l., za 50 c. i 1 l. oraz 2 i 5 l. przedstawiają te same postacie. W Polsce widzielibyśmy chętnie znaczki lotnicze, przedstawiające w jednej serji nasze sukcesy na podniebnych szlakach (Orliński, Żwirko i Wigura, Hynek i Burzyński, Karpiński). Format znaczków włoskich 26×31 mm.

W Belgji ukazała się piękna serja z okazji wybudowania kanału, łączącego Liège z morzem i została z miejsca rozsprzedana, a zmiana opłat pocztowych spowodowała ukazanie się kilku przedruków.

Podobno francuska serja z siewczynią ma zniknąć już na zawsze z obiegu, a jej miejsce zajmie Merkury, którego widzimy już na znaczkach za 10 i 20 c., a także dalsze wartości są w przygotowaniu. Symbol pokoju pojawił się na nowej wartości za 80 c., a 20-lecie zawieszenia broni upamiętnili Francuzi pięknym znaczkiem za 65 c. (karminowy), który przedstawia defiladę wojsk sprzymierzonych pod Łukiem Triumfalnym w Paryżu. Na co przeznaczona jest dopłata 35 c., tego nie wie samo „L'Echo de la Timbrologie".

W Watykanie odbył się kongres archeologiczny i przy tej sposobności emitowano 6 znaczków, przedstawiających katakumby. Dwa rysunki powtarzają się po trzy razy — (format 40x24 mm).

Nowości z USA, za któremi dzień po dniu ukazują się coraz wyższe wartości, oraz znaczki dla portu w Gdańsku (4 sztuki za 5.15. 25 i 55 gr.), jak i niemieckie (z teatrem w Saar) uzupełniają przegląd ub. miesiąca.

Poniżej: Wybór nowości filatelistycznych: w górnym rzędzie znaczek Niemiec, Watykanu oraz Francji (po 2 egz.), w dolnym rzędzie po bokach znaczki Stanów Zjednoczonych, a w środku poczty polskiej dla portu w Gdańsku i wartość za 2 zł z serji jubileuszowej.



Ciąg dalszy ze str. 5-ej.

skich. Złotem i kolorowym jedwabiem wyszywane żywotki, białe kabotki, szerokie suknie granatowe z brązowemi gałonkami. białe koronkowe czepki i ciemne jedwabne żurki na głowach mężatek — wszystko to nadaje im szlachetności i poczucia własnej godności.

Jeżeli wstąpić do takiego kościoła po drodze, w słoneczną niedzielę wiosenną czy w lecie, urzeka człowieka dostojność i piękność stroju śląskiego, zharmonizowanego tak wiernie z pięknem drewnianego kościoła śląskiego i z łacińską modlitwą księdza proboszcza, odprawiającego nabożeństwo przed barokowym ołtarzem szczodrze złoconym.

Ziemia potem spływa coraz wolniej, wygładza się, ucisza, przemienia w ogromną równinę, gdzie już wody w Olzie i Wiśle leniwieją, a z pomiędzy szuwarów wychylają się stawy.

Po drodze miasteczka otworem czekają. Wchodzisz między stare domy, łamanym dachem gontowym nakrywane. W oknach czerwone fuksje i pelargonje z poza białych firanek patrzą na słońce. Za firanką dziewczęca twarz uśmiechnie się zalotnie i zniknie, na ulicy dzieci się bawią, pod ścianami koty się wygrzewają, a wieczorami ludzie wynoszą krzesła i ławy przed bramy, siadają spracowani i omawiają statecznie sprawy świata całego i sprawy miasteczka swojego. Na rynku rozłożyła się obszerna czyszczarnia, wywodząca się od łacińskiej cysterny, na czyszczarni zaś stoi kamienny święty Florjan lub zgoła święty Jan Nepomucen, patrzący w zamyśleniu na cieknącą z pod jego stóp strużkę wody, którą gołębie i dzieci piją.

Czasem miasteczko takie maleńkie, że z rynku ulice wybiegają w pola i w miedze się zamieniają, gdzie już się krowy pasą i pasterze hełokają lub jesienne ogniska palą. Czasem zaś tak ciche, że z kurami chodzi sypiać, a jeżeli przejść późną nocą przez rynek, okna się otwierają zdumione, a senne twarze wychylają się ciekawie, by się przekonać, kto się jeszcze tłucze po bruku. Czasem ulice spadają zakosami z kępy wysokiej do rzeki, domy zaś wynoszą się w górę spiętrzone, czasem tworzą się zaułki i ciasne uliczki, ocierać trzeba się o omszone szkarpy, schodzić wydeptanemi stopniami kamiennemi, przystanąć przed szarą figurą świętego patrona miejskiego, poprawić knot w czerwonej lampce oliwnej westchnąć nabożnie i znów oczy radować urokiem nowych zaułków i nowych uliczek

W miasteczkach śląskich drzemie historja Piastów. Oto stara wieża ratuszowa z herbem książęcym pod kalenicą, tam znów stary kościół z wykuszami i z grubymi murami, z murów zaś patrzą srogie postacie,

Dokończenie na str. 20-ej.

Olejek oliwkowy

jest niezrównany dla utrzymania pięknej cery





Używaj więc dwa razy dziennie mydła PALMOLIVE na olejku oliwkowym.

Dla zachowania młodości i piękna, powinna Pani dbać aby skóra jej była gładka, elastyczna, jedwabista. Jak to osiągnąć, zapyta Pani? Lekarze specjaliści dadzą Pani prostą odpowiedź: należy stosować olejek oliwkowy. Poczem dodadzą: używaj Palmolive, czystego mydła na olejku oliwkowym.

Od najdawniejszych czasów piękne kobiety używają olejku oliwkowego. Wiadomo bowiem jest, że natura nie stworzyła nic lepszego dla udelikatnienia, odżywienia i upiększenia skóry.

Dwa razy dziennie wcieraj głęboko w skórę obfitą pianę mydła Palmolive. Uwalnia ona pory od brudu, nie rozszerzając ich jednak. Skóra jest potem gładka i delikatna, jak płatek róży. Czyń to w ciągu 2 minut rano i wieczorem. Z pewnością stwierdzisz doskonałe wyniki i to w krótkim czasie.

Kup dziś jeszcze czyste mydło Palmolive, w słynnym opakowaniu zielonym z czarną opaską i złotym napisem; zacznij używać go również do kąpieli. Użyty do wyrobu jego olejek oliwkowy jest niezawodnym obrońcą Twej młodości.

Skóra Pięcioraczków Kanadyjskich była niezwykle delikatna, jak zawsze u dzieci przedwcześnie urodzonych. Nie szczędząc pieniędzy, od początku kąpano je wyłącznie w czystym olejku oliwkowym. Gdy podrosły postanowiono użyć najdelikatniejszego mydła na świecie. Wybrano dla nich tylko mydło Palmolive. Cera, jaką dzisiaj posiadają Pięcioraczki, jest żywym świadectwem zbawiennego działania olejku oliwkowego w swej nowoczesnej postaci— w mydle Palmolive.

Przy kupnie żądaj oryginalnego mydła Palmolive. Strzeż się naśladownictw.



SHAMPOO ... wkowym.
pielęgnuje ... cerę.

Portret markizy

WANDA KIESZKOWSKA —:— NOWELA

Marja Antoni Franciszek Gaston markiz d'Estrées był, jak to się mówi, dobrym kompanem i wesołym chłopcem. Kochał życie, a ono nawzajem śmiało się do niego, rzucając pod nogi najpiękniejsze swoje kwiaty.

W trzydziestym roku życia doznał i użył już wszystkiego, czego tylko młodość i fortuna mogą dostarczyć i wkońcu począł odczuwać pewien przesyt i znużenie, zrozumiawszy, że podróże, przygody, hulanki i kobiety... nie mogą zapełnić całego życia.

I wtedy właśnie przyszła do niego miłość, pierwsza miłość jego życia, gwałtowna i nagła, a jasna i promienna jak słońce.

A niezwykłe to były dzieje tej miłości...

Podróżnik niezmordowany, mający przyjaciół we wszystkich częściach świata, myśliwy zapalony, który między swemi trofeami miał już kły słoni, skóry lwów, tygrysów, lampartów i krokodyli, zawitał wreszcie zkolei i do Polski, przybywszy na zaproszenie dawnego towarzysza wędrówek po Afryce, który sprzykrzywszy sobie życie koczownicze, powrócił do ojczyzny, osiedlając się na odległych jej kresach pośród lasów i szerokich przestrzeni.

Rozległe pola, otulone białym, puszystym śniegiem, na którym ciemną wstęgą znaczyły się drogi wysadzane wierzbami, sędziwe drzewa szeroko rozsianych lasów, strojne w lodowe sople, wszystko to zachwyciło Gastona, poruszając w duszy dalekie, uśpione wspomnienie o pradziadku, pięknym i dzielnym oficerze napoleońskim, — niezwyciężonym w boju i w miłości, który, ranny podczas nieszczęśliwej kampanji 1812 roku, przywlókł się do jakiegoś dworu polskiego. Przygarnięty gościnnie i pielęgnowany, zakochał się bez pamięci w młodziutkiej córce gospodarzy, którą też poślubił, wywożąc po wyzdrowieniu z białego dworku do swej ojczyzny, do starego zamku rodzinnego, na skalistej górze dumnie nad morzem wzniesionego. Portret pięknej markizy wisiał w galerji rodzinnej, między rycerzami zakutymi w stal, między dostojnikami państwowymi i kościelnymi przybranymi w fiolety i gronostaje oraz poważnemi matronami w sztywnych, koronkowych kołnierzach, w krynolinach i białych, pudrowanych perukach. Z ciężkich, złoconych ram wychylała się twarzyczka słodka, prawie dziecinna; strojna, głęboko wycięta suknia, odsłaniająca białą szyję i smukłe ramiona, ukazywała postać drobną, prawie dziewczęcą.

Patrząc teraz na zaśnieżone pola, na dwory, chaty wieśniacze i kościółki wiejskie, drzemiące w wieńcu starych świerków, poczynał Gaston lepiej rozumieć cichy wdzięk tej prababki Polki, czczonej w rodzinie pod nazwą „świętej matki", jej słodycz i tęsknotę, leżącą na dnie szafirowych oczów.

Polowanie udało się świetnie. U nóg zwycięzcy triumfatora leżały wilki, lisy, a nie brak też było między zwierzyną i brzuchatego odyńca.

Po tygodniowym pobycie pod gościnnym, wesołym dachem kresowego domu, wracał Gaston w doskonałem usposobieniu, żegnany serdecznie przez gospodarzy do Warszawy, którą widział był przedtem tylko przejazdem, stolicy tego dziwnego, północnego kraju, w którym odkrył nagle więzy łączącego go powinowactwa.

Warszawa rozczarowała go jednak.

W szarzyźnie pochmurnego dnia i drobno siekającego kapuśniaczku wyglądała brudno i nudnie.

Gaston kazał się przewieźć po mieście, zjadł obiad w Bristolu, podwieczorek u Loursa i... poczuł, że nie ma tu nic więcej do roboty.

I wtedy przyszło to niespodziewane.

Siedząc w cukierni przy dworcu, przerzucał niedbale rozkład jazdy, namyślając się, jaki pociąg byłby dla niego najodpowiedniejszy, gdy nagle jakaś niewidzialna siła

zmusiła go do oderwania oczów od książki i skierowania ich w stronę kręconych drzwi, w których ukazały się właśnie dwie młode, uśmiechnięte i ładne twarze dziewczęce. Ale Gaston d'Estrées dostrzegł tylko jedną i już od niej wzroku nie oderwał.

W jednej krótszej niźli drgnienie chwili objął spojrzeniem i wbił sobie w pamięć na zawsze całą wdzięczną postać, która wydała mu się dziwnie znana, a która stała się nagle droga i jedyna: więc jasne włosy, wymykające się z pod czupurnie na bakier włożonej czapeczki, delikatne rysy i szafirowe, w dziewczęcej zadumie pogrążone oczy.

Panienki rozejrzały się po sali, wybrały stolik odsunięty od tłumu i hałasu i zaczęły zajadać z apetytem podane ciastka, nie przerywając ani na chwilę wesołej pogawędki. Były tak młode i wiosenne, że robiły prawie wrażenie uczennic, co wymknęły się cichaczem na niedozwoloną eskapadę lub studentek, korzystających radośnie z pierwszych kroków swobody.

Nagle oczy dziewczyny z jasnymi lokami spotkały się z zapatrzonym wzrokiem Gastona. Przez chwilę siedziała nieruchoma, z twarzą mieniącą się zdziwieniem, wahaniem i niepewnością, z pociemniałemi ze wzruszenia oczami i gorącym rumieńcem na delikatnych policzkach. Widelczyk wysunął się z jej zesztywniałych palców i upadł z brzękiem na podłogę.

Gaston d'Estrées ocknął się z zapatrzenia wtedy dopiero, kiedy dojrzał ruch przy interesującym go stoliku i spostrzegł, że obie panienki, zapłaciwszy rachunek, zabierają się do wyjścia. Bez słowa rzucił kelnerowi pieniądze na stół i nie czekając na wydanie reszty, pospiesznie wyszedł za niemi. Szczęście sprzyjało mu widocznie, gdyż na najbliższym rogu obie przyjaciółki uścisnęły sobie ręce i rozeszły się w różne strony.

Gaston zrozumiał, że godzina jego wybiła. Sztuka uwodzenia kobiet nie była dla niego nowością; w Paryżu cieszył się sławą niezrównanego zdobywcy, któremu żadne serce niewieście oprzeć się nie zdoła, ale nigdy jeszcze nie czuł w sobie takiego podniecenia, takiego waru krwi szumiącego w skroniach, jak teraz, gdy przygładziwszy machinalnie włosy i poprawiwszy kapelusz, zrównał się z idącą przed nim dziewczyną. Kiedy ujrzała go niespodziewanie przy sobie, nie okazała najmniejszego odruchu zdziwienia, ni oburzenia. Tylko powieki jej ocienione rzęsami zadrgały i uniosły się nieco ku górze i wówczas po raz pierwszy mógł zajrzeć w jej oczy, które wydały mu się głębokie jak jeziora, jasne i przeźroczyste jak niebo i bliskie, tak bliskie, jak gdyby od lat najdawniejszego dzieciństwa nie przestał się w nie nigdy wpatrywać.

Marja Antoni Franciszek Gaston d'Estrées nie poznawał sam siebie. On, wytrawny bywalec, doświadczony znawca serc kobiecych, zdobywający szturmem najlepiej obwarowane fortece, z niepojętą nieśmiałością i wahaniem, prawie z lękiem dobierał słowa do idącej obok niego, milczącej i nieodgadnionej dziewczyny.

Mówił więc, że jest mu przykro w ten sposób zaczynać znajomość, nie wiedząc nawet, czy będzie wogóle zrozumiany... Jest cudzoziemcem... Po polsku niestety mówić nie umie... No tak, jest Francuzem, jak się to łatwo domyśleć z jego wymowy...

— Rozumie pani, co mówię, prawda? Czy pani mnie rozumie? — dopytywał natarczywie z gorącą prośbą w głosie.

Dziewczyna skinęła głową. Coś niby uśmiech przesunęło się po różowych wargach. Ależ tak, ale tak, rozumiała doskonale.

Gaston d'Estrées powitał radośnie ten przelotny uśmiech, niby promień słońca przezierający z za zasępionych chmur. Teraz dopiero rozwiązał mu się język i popłynęła cała bezładna i splątana nawałnica wymowy.

No tak, wiedział przecież dobrze, że zachowywał się jak natręt, ale nie miał innego wyboru przed sobą. To była jego jedyna szansa. Znajdował się tylko przejazdem w Warszawie. Za godzinę, za dwie miał wracać do Paryża. I wtedy, kiedy to sobie postanowił, zobaczył właśnie ją. I zapomniał odrazu o wszystkiem. Teraz już oczywiście nie pojedzie... pozostanie tu aż... pozostanie tak długo, jak będzie trzeba. Ale co miał robić? Wychodziła z sali... Czyż mógł czekać bezradnie, aż mu zniknie z przed oczów, aż ją wchłonie to obce, nieznane miasto? Nie, nie, na to się nie mógł zgodzić! Bo i gdzież miał jej szukać potem... A teraz jest oto przy niej i po raz pierwszy od wielu lat nie czuje dręczącej go nudy i jest szczęśliwy. Nie powinna się z niego śmiać, powinna poprostu przyjąć jego słowa i uwierzyć mu, bo choć to wszystko, co mówił, wygląda może trochę podejrzanie, to jednak niema w tem słowa nieprawdy. A teraz chciałby się tylko dowiedzieć, czy go rozumie choć trochę i czy nie jest zagniewana, bo milczenie jej staje się wkońcu niepokojące.

Nie, na twarzy dziewczyny nie znać było gniewu, ani nawet zdziwienia, tylko jakąś niepewność, pełne niewiary zalęknienie i wzruszenie. Szafirowe, wielkie oczy patrzyły teraz uważnie prosto w twarz nieznajomego, ale odpowiedź nie przychodziła długo, tak długo, aż Gaston począł się niecierpliwić. Wreszcie przemówiła, ku wielkiemu jego zdziwieniu i radości, najczystszym paryskim akcentem.

Rozumiała go, tak, rozumiała go zdaje się dobrze i sama się sobie dziwiła, że nie czuła obrazy, ani gniewu, że nie czuła nawet zdziwienia. Wierzyła mu też, wierzyła od pierwszej chwili, że nie szukał zaczepki ulicznej, ani łatwej przygody. I patrząc na niego, miała wciąż dziwne, niepojęte wrażenie, że się już kiedyś, dawno spotkali ze sobą, że wszystkie rzeczy, o których jej mówił, były już dawno przedtem omawiane, roztrząsane...

Wesoła, energiczna twarz Gastona d'Estrées rozpromieniła się, jak gdyby na nią padł promień słoneczny. Stał się odrazu sobą, dawnym Gastonem, dobrym, poczciwym chłopcem, o zniewalającym wdzięku.

— Od pierwszej chwili miałem wrażenie że panią znam — zawołał z młodzieńczą żywością i entuzjazmem, że już panią widziałem, choć nie umiałbym określić, gdzie i kiedy to było!

Podniosła na niego oczy, mieniące się zdumieniem:

— A jednak nie spotkaliśmy się nigdy i nigdzie — oświadczyła z nagłą powagą w głosie.

Spojrzał na nią nieco zaskoczony nieoczekiwaną zmianą tonu. Wysokie, gładkie czoło przecięła zmarszczka zamyślenia. Ale już po chwili śmiał się po swojemu, radosnym, beztroskim śmiechem.

— Najważniejsze ze wszystkiego jest przecie to, żeśmy się wogóle spotkali!

I mówiąc te słowa, wierzył już głęboko, bez zastrzeżeń, że nie było to tylko przypadkowe spotkanie...

Dalsze tygodnie przeleciały szybko i niepostrzeżenie, niby w oszałamiającym śnie. Spotkawszy niespodziewanie na swej drodze kobietę, w której się zakochał od pierwszego spojrzenia, zajął Gaston d'Estrées od razu jasne i zdecydowane stanowisko wobec niej, odkrywając nagle głębię i sens tego spospolitowanego, jakże często nadużywanego wyrażenia: ta, albo żadna!

Ale sprawa z piękną Polką nie postępowała wcale tak łatwo i szybko naprzód, jakby tego pragnął, choć i ona znajdowała się najwidoczniej pod urokiem, jak o tem świadczyło wyraźnie każde jej spojrzenie, każdy ruch, podczas gdy słowa pozostały ostrożne i powściągliwe.

Gaston d'Etrées umiał wszakże dążyć do celu, kryjąc wiele hartu i siły woli pod pozorami zepsutego powodzeniem dziecka.

Cierpliwie, ostrożnie, krok za krokiem przełamywał w mozolnym trudzie jej dumną rezerwę, wahanie, niepewność i milczące zdumienie wobec tej niespodziewanie otwierającej się przed nią przyszłości, zanim usłyszał wreszcie z jej ust upragnione słowo: tak

Przekreśliwszy dla niej od jednego zamachu całą swoją przeszłość, rzuciwszy pod nogi całą przyszłość, umiał przerwać wkońcu jej uporczywe milczenie, przezwyciężyć skrytość i skłonić do mówienia o sobie, do opowiedzenia swego życia do chwili, kiedy danem im było spotkać się ze sobą.

Niewiele tam zresztą miała do opowiadania, choć Gaston chłonął chciwie wszystkie ubogie i smutne szczegóły, tak mu bliskie i drogie. Marja Kołodeńska — Mariette, jak ją nazywał pieszczotliwie, niełatwe miała życie, niewesołą młodość, choć dzieciństwo jej było szczęśliwe i pogodne. Rodzice jej, należący do jednej z bardziej znanych rodzin kresowych, mieli rozległe dobra na dalekiej, słonecznej Ukrainie. Była jedynaczką. Kochali ją też i psuli, spełniając wszystkie zachcianki i kaprysy. Ale przyszła wojna i kończyło się wszystko i dostatek i szczęście. Matka i ojciec zostali zamordowani w zawierusze bolszewickiej, małą sierotką zaś zaopiekowali się sąsiedzi, którzy przywieźli ją ze sobą do Warszawy, gdzie zkolei zajęli się nią dalsi krewni. Nie było jej właściwie źle i nie brakowało niczego, prócz miłości i troskliwych rąk matczynych. Tak minęły lata szkolne. Po zdaniu matury i wstąpieniu na uniwersytet przyjęła posadę. Odtąd praca i nauka wypełniały wszystkie jej dnie. Przed rokiem otrzymała dyplom doktorski z filozofji i dostała podwyżkę w biurze. I oto było prawie całe jej życie. Jakże ubogie, szare, pełne nieustannej pracy i wysiłku.

W pół roku po poznaniu uwoził Gaston, jak niegdyś przed wielu laty jego pradziad, swą młodą żonę do ojczyzny, do zamku, położonego w dzikiej, malowniczej Bretanji, na skalistem wzgórzu, o które morze rozbijało swe fale. Patrząc na śliczną, zadumaną twarz Marietty, siedzącej nawprost niego na miękkich poduszkach sleepingu, rozmyślał Gaston d'Estrées z naiwnem zdumieniem, jak wiele krajów musiał przebiec, jak daleko wędrować, by znaleźć nareszcie swe upragnione, najdroższe szczęście.

Ale jeśli on promieniał poprostu cały radością i miłością, to Marietta... Marietta zachowywała się trochę nieoczekiwanie. Zamiast spokoju i pogody zakochanej kobiety, widać w niej było jakieś rozgorączkowanie, jakieś pełne napięcia oczekiwanie, gdy spoglądała z okien wagonu na ścielące się pod kołami pociągu barwne, zmieniające się z każdą chwilą krajobrazy. I Gaston stwierdził z nagłem rozdrażnieniem, że zdawała się chwilami zapominać o jego obecności.

Nie, stanowczo, droga od granic Polski do rodzinnej Bretanji nie należała do najszczęśliwszych wspomnień Gastona.

Po krótkim, parogodzinnym odpoczynku w Paryżu wsiedli do pociągu, który miał ich zawieźć w rodzinne strony Gastona, do kraju dla Marji nieznanego, gdzie już miała pozostać, do starodawnej, historycznej siedziby, której miała zostać panią. Teraz i Gaston coraz częściej podchodził do okna, wdychając z rozkoszą ostry, rzeźwiący

(dokończenie na str. 23-ej).







Konkurs
NA STRÓJ NARCIARSKI
UWZGLĘDNIAJĄCY POLSKIE MOTYWY GÓRALSKIE

★

Sylwetka górala (na lewo), który w swym barwnym stroju wędruje na „deskach" przez doliny tatrzańskie, jest napewno bliższą krajobrazowi polskich gór, niż choćby najbardziej wytworna, ale modelowana na wzorach zagranicznych sylwetka dzisiejszego przeciętnego narciarza (poniżej).

Strój narciarski, którego rozwój osiągnął w ostatnich latach imponujące rozmiary, powoduje, że w okresie zimowym okolice górskie żyją pod znakiem tłumnych wycieczek mieszkańców nizin. Dominującą na tle górskiego pejsażu staje się wówczas sylwetka narciarza i narciarki, których strój nadaje krajobrazowi specyficzny charakter. W wielu krajach ów pęd do nart wyzyskano w kierunku propagowania czysto narodowych form stroju narciarskiego, wychodząc ze słusznego założenia, że pierwowzór norweski, choć niewątpliwie praktyczny, stanowił niejako międzynarodowy mundur narciarski, nie uwzględniający indywidualnych cech narodowych.

Anglicy i Amerykanie, dla których moda sportowa oddawna była problemem, sięgnęli po wzory do Kanady („mackinaw" traperów). Niemcy, urządzając zimową Olimpjadę zdecydowali się na strój, oparty na wzorach ludowych z okolic Alp bawarskich. A my, jak dotąd, nie zdobyliśmy się na stworzenie oryginalnego polskiego stroju narciarskiego, choć wszystko wskazywało na to, że dysponując przebogatem źródłem form ludowych strojów mieszkańców naszych gór, szybko pozbędziemy się obcych naleciałości.

Magazyn „As" niejednokrotnie wskazywał na konieczność wprowadzenia do naszej mody sportowej form, opartych na tatrzańskim folklorze. Obecnie, gdy narciarze polscy przygotowują się do wielkiego święta, jakiem będą zapowiedziane na luty 1939

MIĘDZYNARODOWE ZAWODY NARCIARSKIE FIS,

problem czysto polskiego stroju narciarskiego nabiera specjalnego znaczenia, choćby z uwagi na swój reprezentacyjny charakter wobec zagranicznych zawodników i gości, którzy napewno tłumnie zjadą do Zakopanego.

Redakcja Magazynu „As", podejmując swą dawną inicjatywę, rozpisuje niniejszem w porozumieniu i przy poparciu Polskiego Związku Narciarskiego,

KONKURS NA STRÓJ NARCIARSKI, UWZGLĘDNIAJĄCY POLSKIE MOTYWY GÓRALSKIE.

Warunki Konkursu są następujące:

1. Przedmiotem Konkursu jest zarówno strój męski, jak i kobiecy, uwzględniający polskie motywy góralskie. 2. Modele strojów winny być nadsyłane w postaci rysunków jednobarwnych lub kolorowych. Dopuszczone będą również fotografje już wykonanych modeli. 3. W Konkursie mogą brać udział wyłącznie polscy projektodawcy. 4. Jury konkursowe weźmie pod uwagę tylko te projekty, które uwzględniać będą sportowy charakter nowego stroju i przedstawią go w sposób umożliwiający wykonanie przez krawców. 5. Termin nadsyłania rysunków, względnie fotografji upływa 18 grudnia br., w którym to dniu nastąpi zamknięcie Konkursu.

Spis cennych nagród oraz skład osobowy Jury Konkursu zamieścimy w najbliższym numerze Magazynu „As".

REDAKCJA.



NOWY KONKURS MAGAZYNU „AS"



JAK SPĘDZAM WAKACJE?

5 cennych nagród!







„Na pustyni marokańskiej" — Fot. I. Berwid-Appel, Warszawa.

Na lewo: **„Pod pałacem Dożów"** Fot. S. Prądzyński, Warszawa.

Na prawo: **„Na wycieczce w Kiesmarku"** Fot. A. Ślosarczyk. Chorzów.



Na lewo: **„Młodzież na szczytach polskich gór"** — Fot. U. Jojkówna Knurów.

Na prawo: **„Żurawie na wędrówce"** — Fot. Józef Karetta, Żywiec.





„Ewunia w krainie krasnoludków" Fot. T. Zamojski, Stebnik.

„Grzybobranie" — Fot. prof. St. Bober. Stanisławów.





„Jutro powrót do miasta" Fot. J. Szulc, Poznań.



„Wodne igraszki"
Fot. E. Sztefek, Bażanowice.



„Wesołe grono"
Fot. H. Libsz, Pabjanice.



„Pod kopą"
Fot. T. Radzikowski, Zakopane.



„W bród"
Fot. J. Peters, Jasło.



„Odjazd"
Fot. M. W. Kowalska, Brodnica.



„W kąpieli"
Fot. B. Stabińska, Wilno.



„Rybaczka"
Fot. I. Zadarnowska, Żołudek.



„Siesta"
Fot. M. Prostakówna, Kraków.



„Nad Dniestrem"
Fot. M. Modliszewska, Lwów



„Dzikie plemię"
Fot. J. Pacowska, Katowice.



„Winogrona"
Fot. S. Władyka, Lwów.



„Przy księżycu"
Fot. W. Pohlman, Poznań.



„Tarzan"
Fot. Z. Makomaska, Warszawa.



„Nimfa"
Fot. p. Bednarski, Kraków.



„Spacerem"
Fot. J. Kożuchowa, Sarny.



„Trójka"
Fot. J. Maciuch, Liszki.



„Na huśtawce"
Fot. W. Roblowa. Zakopane.



„Cienie"
Fot. T. T. Cieszanów.



„W lesie" — Fot. Stasiniewicz, Ujejsce.



„Piraci" — Fot. A. Karpiński, Gniezno.



„Sianokosy" — Fot. E. Szepe, Siemianowice.

KWIATY =

GODŁA NARODOWE



Słynny dziedziniec lwów w pałacu Alhambry jest najpiękniejszym zabytkiem starożytnego grodu Grenady.

Kwiat, któremu przyroda nie poskąpiła świetności barw i misterności w kształcie, napełniając jego płatki różnorodnymi, nieraz pięknymi i subtelnymi zapachami, od najdawniejszych czasów wplótł się w życie człowieka. Kwiaty zdobiły posągi i ołtarze bogów, okrywały mury świątyń, przyozdabiały stoły i weselnych gości w czasie uczty, towarzyszyły wreszcie zmarłym w ich ostatniej wędrówce do podziemnych światów, rozrzucone w fałdach ich szat. Za pośrednictwem kwiatów zaczął człowiek wyrażać swe uczucia tak, że niektóre z nich stały się nawet ich symbolem.



Na prawo: Oto owoc granatu, który jako godło „mówiące" stał się herbem królestwa Grenady i jako taki figuruje w jednem z pól królewskiego herbu Hiszpanji

Kult kwiatu znalazł swój wyraz zarówno w pielęgnowaniu go przez człowieka, jak i w stosowaniu go jako motywu ornamentacyjnego w sztuce malarskiej i zdobniczej. Kwiaty stanowiły niekiedy podstawowy składnik herbów rycerskich, stając się z czasem również godłami krajów i państw.

I tak godłem narodowem Anglji została polna róża. Gdy w wieku XV-ym Henryk VII usiłował połączyć walczące już długo ze sobą rody Yorków i Lancastrów, zjednoczył ich oznaki białej i czerwonej róży w ten sposób, że różę białą umieścił wewnątrz czerwonej i ta róża, powstała z dwóch, stała się różą Tudorów. Rysunek owej róży stał się w Anglji tak popularny, że znalazł on zastosowanie w ornamentyce architektonicznej, zbrojach, dywanach, barwnem szkle i innych ozdobnych przedmiotach.

Róża, zwana również królową kwiatów, należy do kwiatów bardzo pięknych, nie tylko dla swych kształtów, lecz przedewszystkiem dla całej gamy barw i rozległej skali zapachów. Nic zatem dziwnego, że właśnie ona została wybrana na godło narodowe. Zastanawiać jednak musi fakt, że tak skromny kwiat i mało powabny, jak przydrożny, kłujący oset, należący do bardzo pospolitych i natrętnych chwastów, niszczonych przez człowieka, został w Szkocji podniesiony do godności godła narodowego. Dlaczegóż mimo swego niepozornego wyglądu, stał się symbolem siły i odwagi Szkotów? Jak niesie podanie, dzięki niemu odnieśli Szkoci zwycięstwo nad Duńczykami. Gdy wojska duńskie zamierzały niespodziewany atak i podkradały się do obozu nieprzyjaciół pod osłoną ciemnej nocy, nagle jeden z żołnierzy nastąpił bosą nogą na oset. Krzyk jego zdradził Szkotom zbliżające się niebezpieczeństwo. Stąd też oset ozdobiony koroną, stał się godłem narodowem Szkocji. Motyw jego znalazł swój wyraz w sztuce dekoracyjnej, a niegdyś rysunek ostu wybijano także na monetach.

Również niepozorny lecz jakże dobrze znany listek koniczyny stał się godłem narodowem Irlandji od chwili pojawienia się postaci św. Patryka, niestrudzonego apostoła wiary i późniejszego patrona nawskróś katolickiej Irlandji. On to w czasie wielkanocnego kazania użył listka koniczyny dla zobrazowania istnienia świętej Trójcy. Tak jak trzy listeczki skupiają się na jednej łodydze, stojąc jeden obok drugiego, podobnie obok siebie istnieć mogą Bóg Ojciec, Syn Boży i Duch Święty. To też listek koniczyny zwany był także zielem św. Trójcy — Herba Trinitatis. Często listek ten ujęty w postaci krzyża, noszony był zarówno przez bogaczy jak i biedaków, chłopów i rycerzy, także dla odżegnywania złych duchów.

Godła trzech narodów: Anglji, Szkocji i Irlandji, a więc róża, oset i listek koniczyny, umieszczone razem pod królewską koroną, stały się godłem Zjednoczonego królestwa Wielkiej Brytanji.



Od lewej: Różne kwiaty i krzewy stały się herbami i symbolami poszczególnych krajów — oto kwiat lotosu, symbolizujący Egipt, chryzantema — cesarski kwiat Japonji, tulipan — kwiat narodowy Turcji i lilja, która jest najstarszem godłem Francji.

Narodowem godłem Francji stała się lilja francuska, o której pochodzeniu istniały różne sprzeczne teorje. Jedni bowiem twierdzili, że pochodzi ona od kwiatu lilji, inni zaś, że pochodzi od irysa cz. kosaćca. — I w rzeczywistości kształt kwiatu na fragmencie pieczęci Ludwika VIII przypomina w zupełności irys. Według legendy, gdy Frankowie obwołali króla, podnieśli go w górę na tarczy, podając mu do ręki zamiast berła, kwitnący kwiat irysu. Ludwik VIII był pierwszym, który używał tego godła na swym królewskim płaszczu, zaś Karol V, jako pierwszy, używał trzech lilij. Kwiatu lilij, jako godła Francji, używano więcej niż w 100 różnych kształtach. Tkwił on w koronach władców, zdobił szaty królewskie, oraz był też umieszczany na grobowcach panujących.

Piękny i tajemniczy kwiat lotosu zarówno w Indjach jak i w Egipcie stał się symbolem narodowym, pełnym religijnej treści. W Indjach identyfikowano lotos ze słońcem i wierzono, że wskazuje on tajemnicze sanktuarjum, w którem każdego wieczoru chowa się słońce, aby zaczerpnąć nowych sił. Według hinduskiego mitu, zanim powstał świat, istniało olbrzymie morze. Na jego bezmiernych wodach poruszał się duch najwyższej istoty, który przyspieszył życie złotego lotosa, z którego powstał bóg Brahma. On to rozprószył ciemności i powołał do życia ziemię. Budda, który podobnie jak Brahma, uważany jest za władcę świata, często przedstawiany jest w pozycji siedzącej na kwiecie lotosu. Każda część kwiatu przedstawia jakąś świętą istotę, Każdy jego płatek ma swe znaczenie a środek przedstawia źródło wszelkiego organicznego życia.

Kwiat lotosu wyryty był na rękach bogów i umieszczony za ich głowami jako symbol ich panowania nad światem. Jego piękny rysunek powtarza się stale jako motym w sztuce i architekturze indyjskiej.

Niemniejszą czcią był otaczany lotos egipski, który zwłaszcza u starożytnych Egipcjan miał głębokie znaczenie religijne. Ponieważ kwiat ten wyrastał na wodach życiodajnego Nilu, przeto z nim wiązano płodność, zmartwychwstanie i nieśmiertelność. Kwiat ten był również symbolem słońca, gdyż płatki jego otwierały się ze wschodem a zamykały z zachodem promieni słonecznych. Kwiat lotosu składano cząsto bogom na ofiarę, zdobiono nim świątynie i filary domostw. W sztuce malarskiej i dekoratywnej zajął poważne miejsce, powtarzając się w motywach jako pół otwarty pączek.

Godłem narodowem pięknej i egzotycznej Japonji jest okazały i misterny w kształcie kwiat chryzantemy, przyjęty przez cesarza Kwannu jeszcze w 8-mym wieku. Kwiat ten stał się tak popularny, że rysunki jego widoczne są zarówno na porcelanie, jak pięknych japońskich kimonach, lakowych cackach, a także na rękojeściach mieczy. Świeże kwiaty chryzantem zdobią czarne, błyszczące włosy uroczych Japonek. Rysunek chryzantemy o szesnastu płatkach na karmazynowem tle używany jest tylko przez cesarza. Do dnia dzisiejszego chryzantema jest ulubionym kwiatem Japonji, a zamiłowanie do hodowli zrodziło kilkaset odmian tego kwiatu w najróżnorodniejszych barwach i kształtach. Rokrocznie w dniu urodzin cesarza obchodzą Japończycy uroczyście święto chryzantem, w którym to radosnym dniu do filiżanek wrzuca się płatki kwiatu, co pijącemu ma wróżyć długie życie i szczęście.



Na lewo: Wspaniała pagoda indyjska, w której zdobnictwie nie brak rzeźbionych kwiatów lotosu (poniżej), symbolu tego kraju.



W Persji — kraju róż — stała się róża godłem państwowem. Jak mówi historja, autor najsławniejszej perskiej książki „Ogród róż" był niegdyś niewolnikiem. Pewnego dnia stanął on przed swym władcą z różą w ręku i prosił go o łaskę, gdyż władca ma moc i siłę, lecz siła owa podobnie jak trwałość róży jest przemijająca. Słowa te wyjednały mu wolność. Motyw róży powtarza się często w architekturze perskiej, jak też i w zdobnictwie.

Jakolwiek tulipan jest ulubionym motywem, powtarzającym się w sztuce całego Wschodu, jednak szczególnie przyjął się on u Turków, którzy wyhodowali olbrzymią ilość odmian tego dekoratywnego kwiatu.

Godłem narodowem Hiszpanji stał się piękny owoc granatu, będący symbolem urodzajności i obfitości. Pierwotnie był on godłem królestwa Grenady i dopiero po jej opanowaniu przez Hiszpanję stał się godłem króla hiszpańskiego. Katarzyna Aragońska używała go jako swego herbu, a po zaślubieniu Henryka VIII złączyła go z różą, będącą godłem jej małżonka. Filip II hiszpański zwykł był mawiać, że chętnie widziałby tylu przyjaciół wokół siebie, ile nasionek kryje w sobie owoc granatu.

Tak więc niektóre z kwiatów czy to okazałe i piękne, jak róża, chryzantema, czy lotos, czy skromne i niepozorne, jak oset, odegrały rolę w życiu narodów, które obrały je sobie za symbol.

Dokoła wielu kwiatów snuje się czar legend i opowieści. Kwiaty kryją w sobie wiele nieodpartego uroku i trudno byłoby sobie wyobrazić świat pozbawiony kwietnej ozdoby.

Życie człowieka i kwiatu jest ściśle ze sobą związane, można powiedzieć, że kwiat towarzyszy człowiekowi od jego kolebki, stając się wówczas symbolem radości i uśmiechu aż do jego mogiły, rzucony jako ostatnie pożegnanie i wyraz bolesnego smutku.

Z. M.





Na lewo: Niezwykle charakterystyczny dla Anglji kraj obraz; symbolizuje ją tzw. podwójna róża Tudorów (u góry).

Poniżej od lewej: Oset od wieków jest godłem Szkocji, gdy natomiast koniczyna złączona jest ściśle z historją Irlandji.





WŚRÓD KALIFORNIJSKICH MAKÓW...

Gdy już nadchodzi okres europejskiej zimy, gdy wnet przyjdą szarugi i chłody — jest jednak duży szmat ziemi, daleko, za błękitnym oceanem, gdzie po wiośnie przychodzi — wiosna. To Kalifornja!...

Jest to kraj słońca, kraj wiecznej pogody, do którego wzdychają ludzie z całego świata. I nietylko dlatego, że tam jest wieczny błękit, że z dnia na dzień trwa słoneczna pogoda, ale i dlatego, że jest to istotnie „kraj mlekiem i miodem płynący".

Tam przecież jest stolica filmu świata — tam najpiękniejsze miejscowości kąpielowe, wypełnione po brzegi dostatkiem i dosytem — tam do niedawna jeszcze trwała gorączka złota i snuły się legendy o tem, że złoto leży wprost na drodze, że każdy strumień niesie złotodajną falę...

Toteż ciągnęli i ciągną do tej krainy szczęśliwości ludzie ze wszystkich stron świata, awanturnicy i niebieskie ptaki, artyści i romantycy, marzyciele i poeci.

Ciąg dalszy na str. 20-tej.





Na lew[illegible] luksuso- wych k[illegible]ach wy- brzeża[illegible]kiego sezon [illegible] przer- wy prz[illegible] rok...



Obok od lewej: Po rannym spacerze na siodle. — W roli myśliwego. — Z wizytą do sąsiedztwa. — Po żniwach. — Tea for two.



Na prawo: Okolica Santa Monica w Kalifornji.



RYSOWAŁ ALFRED ŻMUDA.

Człowiek,
KTÓRY UJARZMIŁ MIKROBY



Powyżej: Obraz znanego malarza Rixensa przedstawia przyjęcie Pasteura przez Akademję Nauk w Paryżu 27 grudnia 1892 r.



Na lewo: Dom rodzinny Pasteura w Arbois zamieniony na muzeum jego imienia.

Od czasu do czasu zjawia się w dziejach ludzkości człowiek, który dzięki swojemu genjuszowi tworzy jej nowe warunki życia. Genjusze tacy bywają dwojakiego rodzaju: dobrzy, dobroczynni, przybierający w pamięci potomnych postać nieomal świętych, lub też genjusze zniszczenia, przeklinani i znaczący swój pochód tysiącami mogił.

Do tych pierwszych należy Ludwik Pasteur, wielki bojownik współczesnej nauki, pognębiciel tysięcznych klęsk i chorób. Dzisiaj, gdy wynalazki Pasteur'a są w ogólnem zastosowaniu, trudno nam zdać sobie sprawę z wrażenia, jakie one wywołały. Nie zapominajmy przecież, że Pasteur nietylko jest twórcą serum przeciwko wściekliźnie, ale również przeciwko wąglikowi, czerwonce i odkrywcą — niczem Kolumb odkrywający Amerykę — współżyjących od zarania ludzkości z człowiekiem mikrobów, dotychczas przez niego niezauważonych. Postać Pasteur'a to postać tytana nauki, którą mógłby jedynie wyrzeźbić w wstrząsającym swą wyrazistością pomniku Rodin, twórca „Panseur'a".

Ciekawym jest w życiu uczonego jeden, zdawałoby się drobny a jakże charakterystyczny szczegół: człowiek ten, mimo poczucia własnej wartości i wielkości, nie przestał być prawdziwym sługą idei i zawsze swą działalność ujmował jako pracę dla dobra ludzkiego, nie zaś jako zasługiwanie na sławę. I właśnie ta cecha czyni go tak sympatycznym, tak bliskim. Gdy świetny aktor Paweł Muni odtworzył po mistrzowsku postać wielkiego lekarza w filmie, zwanym skromnie „Pasteur", widzowie przeżywali wielkie chwile ratowania pogryzionego przez wściekłego psa, chłopca Józefa Meistra z niekłamanem wzruszeniem. Ludwik Pasteur był synem ubogiego garbarza, zamieszkałego w Arbois, urodził się w Dôle w r. 1822. Dom rodzinny wielkiego uczonego został w r. 1936 zamieniony przez wnuka jego, dra Pasteur-Vallery-Radot, w muzeum. Przyszły wynalazca serum nie był najlepszym uczniem: wołał łowienie ryb w rzece Cuisance. Do szkół uczęszczał w Besancon, gdzie zdał maturę. Następnie był pomocnikiem nauczyciela w Paryżu, potem zaś zapisał się na uniwersytet na dział fizyki, który skończył, doktoryzując się w r. 1847, następnie zaś zostaje nauczycielem w gimnazjum w Dijon. Od r. 1852 jest profesorem chemji w uniwersytecie w Strasburgu, potem zaś w Paryżu. W pięć lat później zostaje członkiem Akademji Nauk w Paryżu. Punktem wyjścia jego wynalazków są badania nad fermentami mlecznymi i alkoholowymi. Wykazał on, że fermentacja powodowana jest istnieniem niezmiernie drobnych żyjątek, które nazwał mikrobami (mikros po grecku = mały, bios = życie), tem samem zaś upadła teorja o „generatio spontanea". Odkrycie Pasteur'a zadało ciężki cios nauce materjalistycznej. Od r. 1877 poświęca się Pasteur badaniom nad wąglikiem oraz innym chorobom, występującym u zwierząt. Po długich badaniach stwierdził on z całą pewnością, że kultura mikrobów w miarę starzenia się, staje się mniej groźną dla zdrowia — a od tego stwierdzenia dzieli go już tylko jeden krok od teorji o szczepionkach. 28 lutego 1881 r. Pasteur oznajmia Akademji Nauk w Paryżu, że znalazł metodę szczepienia przeciwko wąglikowi oraz, w rok później, tę samą metodę zaczyna stosować do czerwonki. Po pięciu latach Pasteur dochodzi do podobnych rezultatów w zakresie wścieklizny. Z tym ostatnim wynalazkiem łączy się niezwykle ciekawy i wzruszający epizod. Do Paryża przybywa z miejscowości Steige, pewna Alzatka ze swoim synem, Józefem Meistrem, który został pogryziony przez wściekłego psa. — Wszyscy zapytywani o radę lekarze, oświad-

czyli, że jedynie pan doktór Pasteur w Paryżu może uratować dziecko. Nieszczęśliwa matka rozpoczyna poszukiwanie słynnego już lekarza po Paryżu. Chodzi od szpitala do szpitala, wszędzie jej jednak oświadczają, że pana Pasteur'a niema, względnie, że jest zbyt zajęty, aby poświęcać się leczeniu dziecka. Wkońcu udaje jej się dotrzeć do słynnego uczonego, zajętego wtedy w laboratorjum na rue d'Ulm. Jak zwykle, Pasteur przyjmuje ją z chęcią ulżenia cierpieniom chorego. Ale oświadcza, że jego prace nad szczepionką przeciwko wściekliźnie nie są jeszcze ukończona, nie ręczy więc za skutek. Naradza się jednak z drem Grancher i o piątej popołudniu zastrzykuje chłopcu serum przeciwko wściekliźnie. Chory i matka jego zostają umieszczeni w sali, służącej do ćwiczeń szermierczych, znajdującej się w domu, w którym doświadczenia przeprowadza Pasteur. Dwa tygodnie trwają zabiegi uczonego: uzdrowiony Meister powraca z matką na wieś i oto pierwszy raz w dziejach medycyny, zostaje uleczona wścieklizna.

Wkrótce potem inny chłopak, z Franche Comté, Jupille, staje się drugim pacjentem Pasteur'a i również zostaje uleczony. Dnia 16 października 1885 r. zbiera się in corpore Akademja Nauk w Paryżu, aby wysłuchać wykładu sędziwego uczonego o jego odkryciach. Entuzjazm nietylko wśród uczonych, ale również wśród szerokiej publiczności, jest tak duży, że ze składek i z kilku wspaniałych ofiar powstaje słynny na cały świat Instytut Pasteur'a w Paryżu, który w obecnej chwili posiada filje w Lille, Algierze, Dakarze, Kindji, Brazzaville, Tangerze, Tunisie, Nha-Trang, w Atenach, Buenos-Aires i Montevideo. Skromna początkowo fundacja rozrosła się w olbrzymi instytut, zajmujący dzisiaj wiele budynków na ulicach Vaugirard, Falguière i kilku innych. Obejmują one nietylko liczne laboratorja, gdzie wyrabia się szczepionki Pasteur'a i prowadzi dalsze badania w tej dziedzinie, ale również szpitale. Obecnym prezesem Instytutu Pasteur'a jest dr Louis Martin.

Droga, którą Pasteur kroczył ku sławie i coraz to wspanialszym odkryciom, nie była bynajmniej bez cierni. Jak się to zdarza zwykle w wypadkach, kiedy ktoś dokona wynalazku, przewyższającego zdolność rozumienia współczesnych i wyprzedzającego o wiele lat stan nauki, tak i tym razem świat lekarski uważał Pasteura z początku za marzyciela, jeżeli nie za szarlatana. Dopiero 27 grudnia 1892 na słynnem posiedzeniu Akademji Nauk, cały świat naukowy oddaje hołd Pasteur'owi. Prowadzony przez prezydenta republiki francuskiej Sadi-Carnot, wchodzi wielki uczony na salę, powitany gromkiemi oklaskami. Wielki antagonista Pasteur'a, prof. Sister wyciąga do niego rękę, wyrażając mu w ten sposób uznanie wszystkich swych kolegów. Program przewidywał, że Pasteur podziękuje obecnym dłuższą mową za triumfalne przyjęcie, jakie mu zgotowali. Staruszek jednak zbyt jest wzruszony, aby wypowiedzieć choć jedno słowo i zastępuje go jego syn.



Paryski pomnik, przedstawiający chłopca walczącego ze wściekłym psem, symbolizuje najdonioślejszy wynalazek Pasteura — serum przeciw wściekliźnie.



Ludwik Pasteur (1822—1895).

Jeszcze kilka lat Pasteur jest czynny w swej pracy naukowej i dopiero w r. 1895 dnia 22 września rozstaje się z tym światem w Villeneuve — l'Etang. Ostatnie jego chwile były pełne wzruszającej prostoty. Szczerze wierzący, przed samą śmiercią rozmawia dłuższy czas z Dominikaninem O. Boulanger, a ostatnie jego spojrzenie pada na krucyfiks, trzymany w ręku.

Dzisiaj nazwisko Pasteura przestało być określeniem osoby, a stało się synonimem pewnej ery, pewnego kompleksu wynalazków. Należał on do tej generacji Francuzów, którzy pomimo klęski r. 1871 i straty Alzacji i Lotaryngji rozsławili Paryż jako siedlisko nauki i sztuki po całym świecie. Obok Emila Zoli, braci Goncourtów, Wiktora Hugo, twórców wystawy paryskiej i wielu innych, Pasteur jest jednym z tych ludzi, którzy byli najlepszymi ambasadorami wielkości Francji w owych czasach, utwierdzając wpływ tego kraju na Europę, podobnie jak uczynił to mieczem Ludwik XIV, lub Napoleon. Dzieje też życia Pasteura są wymarzoną fabułą do wielkiej powieści, godnej pióra Zoli lub Wiktora Hugo.

Odkrycia Pasteura fascynowały swą fantastycznością współczesnych i pobudziły wielu uczonych do dalszych w tym kierunku prac. Najważniejszą rolę w kontynuacji prac wielkiego uczonego odegrali wielcy lekarze prof. Roux, dr Calmette, dr Nicolle i prof. Karol Richet.

Zwiedzając Paryż, mimowoli nasuwa się dziwne porównanie dwóch sarkofagów wielkich ludzi XIX wieku: czerwony marmurowy sarkofag Napoleona I, otoczony sztandarami wojsk francuskich, postrzępionemi przez kule i skromny sarkofag Pasteura, znajdujący się w kaplicy Instytutu. Dwaj genjusze stojący na tak przeciwległych krańcach: dla Napoleona ludzie i narody posiadały wielkość mikrobów, które zależnie od potrzeby używał do rozsadzania Europy, gdy Pasteur, skoncentrowawszy uwagę na człowieku jako jednostce, uwolnił go od pasożytów. Porównanie może nieco śmiałe i posługujące się daleką przenośnią, ale istotnie dwie te postacie symbolizują dwa odmienne światy. **JGM.**





Od lewej: Instytut Pasteura posiada dużą hodowlę królików, które służą do rozlicznych doświadczeń. — Wnętrze jednego z laboratorjów, w których przygotowuje się słynne szczepionki pasteurowskie. *Zdjęcia: Jacques Boyer — Paryż.*

PÊLE MÊLE

Paryż Paryżem, ale warto wiedzieć, co mówi Ameryka, kraj który nieraz czynił decydujące pociągnięcia na polu mody. Otóż zmiany w modzie są wielkie i ważkie: chłopięce fryzury zginęły bezpowrotnie (?), nawrót do kobiecości na całej linji, kunsztowne fryzury z loczkami, suknie z długą talją, sznurowane w pasie, rękawy długie z pufami, kapelusze — jakie kto chce, ale widuje się dużo, poprostu „wież", na głowie (wogóle nie wiem, czy jest rzecz, którejby kobieta nie włożyła na głowę, pod warunkiem, że będzie jej w tem do twarzy!). Oprócz tego zauważono, że Amerykanki nie starają się już wpadać w oko i ubierają się dyskretnie. —

A propos Amerykanek: ostatnio powstało tam nowe określenie „sophistication", to jest jakby sztuka wyciągnięcia korzyści ze swego wyglądu — np. panienka, która potrafiła sobie dać radę i wypłynęła z szarzyzny życia nazywa się „sophisticated girl" — jest to coś w rodzaju świadomego „sex appeal'u".

W Ameryce panują pod względem urody kobiecej specjalne wymagania: panienka biurowa, czy sklepowa, nietylko musi być pierwszorzędną siłą, ale musi być bardzo ładną i wypielęgnowaną, toteż nic dziwnego, że w czasie najostrzejszego kryzysu jedyny przemysł, który nic w USA nie ucierpiał, to przemysł kosmetyczny.

Gdy mowa o modach i kobiecych sprawach nasuwają się refleksje na temat biżuterji. Przecież jest taka masa kamieni i pereł fałszowanych! Oprócz wielu innych, jest w Berlinie przy uniwersytecie specjalny instytut do badania kamieni i pereł. Dziwne tam rzeczy z niemi wyrabiają, rentgenują je, badają ich strukturę wewnętrzną, na wszelkie możliwe sposoby, by tylko klient wiedział napewno, że jego okaz jest nie tylko prawdziwy, ale i naturalny. Paradoks? Nie, bo perły hodowane przez Japończyka Mikimoto są wprawdzie prawdziwe, ale nie są naturalne. Wiadomo, że ten przedsiębiorczy gentleman wpadł na pomysł wkładania do muszli małych kuleczek, które w ciągu kilku lat pokrywają się warstwą masy perłowej. Zdawałoby się, że nie ma sposobu odróżnienia takich pereł od naturalnych. I na to znalazła się rada. Profesor Nacken z Frankfurtu skonstruował aparat, w którym perła naturalna trwa w spokoju a perła hodowana kręci się pod wpływem pól elektromagnetycznych, bo warstwy jej chcą się ułożyć równolegle do sił elektromagnetycznych, a że warstwy w takiej perle nie są równomierne stąd pochodzi ten zdradliwy ruch.

Wojna, a. z nią i gazy śmiertelne były niedawno na ustach wszystkich. Gazy mogą służyć nie tylko do mordowania. Oto na kongresie dentystów w Berlinie prof. Weigele przedstawił nowy sposób sterylizowania zepsutych miejsc w zębach. W dziurę zęba wkitowuje się igłę wydrążoną i wpuszcza przez nią za pomocą gruszki gumowej gaz chlorowy, który zabija bakterje, a nie narusza tkanek zęba, dając w ten sposób gwarancję, że pod plombą jest napewno czyste i wydezynfekowane miejsce.

Jerzy Dołęga-Lewandowski.

Dokończenie ze str. 17-ej.

Piękna pani, która w jakiemś mieście w Europie stroi się na wieczorne przyjęcie wypełnia swój pokój zapachem subtelnej perfumy, która delikatnie osiada na jej wytwornej sukni. To maki kalifornijskie — maki, które kwitną i wonieją w kraju, skąpanym w blaskach wiecznego słońca...

Pomarańczowe gaje kwitną wzdłuż szos, a w okresie, gdy owoc dojrzewa, ziemia ugina się pod spadającemi złotemi kulami, których nieraz nawet nie warto zbierać — jest tego za dużo... Toteż znana jest opowieść o tych dwóch Niemcach, którzy przywędrowali do Kalifornji, a nie znalazłszy pracy, przez miesiąc żyli swobodnie z tego, co ręce ich zerwały z drzewa... Jak w raju...

Jest to jeden z niewielu krajów, który w dzisiejszym skłóconym i zdenerwowanym świecie może dać spokój i wypoczynek, a przedewszystkiem zapomnienie.

Jest to też kraina pięknych kobiet, bo wszystko piękno iść zawsze musi w parze. Gorące promienie słońca wyczarowują ciepłe tony na aksamitnej skórze smukłych dziewcząt, zapalają ich czarne oczy płomieniem miłosnego westchnienia. Wstaje pieśń namiętna, pieśń życia, kołyszą się dźwięki orkiestr, rzewnie łkają romantyczne instrumenty...

Morze uderza o piaszczyste brzegi, kołyszą się lasy palmowe. Z okresu nadchodzącej szarugi późnojesiennej przenieśmy się więc z zimnej Europy tam właśnie, gdzie marzeniem dolecieć jakże łatwo!

Dokończenie ze str. 7-ej.

rzezane w kamieniu, pobożne nagrobki dawnych Piastów i wielmożów śląskich. Czasem na rynku i w przyległych uliczkach wąskie kamienice trzyokienne, szczytami zwrócone do świata, czasem kamienne odrzwia w barokowe zdobniki u góry rzezane i w daty zdobione, by świadczyć o dawnych dziejach rodów mieszczańskich. W kamieniczkach sienie sklepione na sposób gotycki, podłogi drewniane, skrzypiące schody, zapach zleżałych jabłek i zwiędłej macierzanki.

A jeżeli opuścić miasteczka śląskie, ominąć bokiem czarny Śląsk, droga zawiedzie w ciche lasy i w ciche pola dalekie. Koło białych dróg szumią białe brzozy na wietrze, drogi zaś są samotne i jakby na kraj świata wiodące. Wiodą człowieka przez pomarszczony płaskowyż, sieroce jakieś, bezludne prawie, nurzają się w ogromnych lasach, prowadzą koło drewnianych kościółków, przejdą przez ciche miasteczko jedno i drugie i znowu rozejdą się pod nawisłem niebem między piaszczystemi polami i szumiącemi brzozami. W poprzek drogi sączą się senne wody, leniwe, uciszone. Cisza spada tutaj na wędrowca i wszędzie z nim idzie. Przed oczami rozwiera się nieobeszła przestrzeń, błękit zaś jest czysty i głęboki, którędy podniebne wichry latają, nie sięgając ziemi. I nawet chmury są tu inne, jakieś odświętne, rozbielone, w zamyśleniu słodkiem po niebie wędrujące. Ziemia zaś pachnie przestrzenią, słońcem, rozgrzanym piachem, żywicą i chlebem.

A gdy się za siebie oglądnąć, dostrzec można niski, ciężki pułap utkany z burych dymów. Kominy podpierają tam niskie niebo, a ziemia znowu inna, rzekłbyś przez Boga zapomniana. Słońce przesiane przez dymy, przybiera kształt ogromnego światła gromnicznego o mętnym blasku, gwiazdy zaś nocną porą toną w dymach, jak wspomnienie gwiazd. W dzień deszczowy spływa z tamtych dymów senny półmrok na ziemię, ziemia zaś jest rozorana do głębi, wrócona na ręby, przewłóczona i opuszczona. W zamknięciu usypisk i rumowia skalnego ślepią miejscami czarne wody lub śnią pawiemi oczami rozpuszczonych smarów.

Kontury odległych przedmiotów zacierają się tutaj w miękką szarzyznę. Obok splątanych dróg i gościńców piętrzą się usypiska kamieni i płonnych skał, wyłamanych z podziemi, piętrzą się rude hałdy z płonącymi stokami. W nocy tańczą niebieskawe ogniki, trzęsą się na tle broczącego żaru, pełgają niemrawie, krztuszą się sinym dymem.

Naokoło tętni praca maszyn i ludzi.

Wysokie rusztowania wież szybowych, mrowia czarnych zabudowań, wysokie piece z buchającemi płachtami sinych i rdzawych płomieni, krzykliwy, potworny rytm zorganizowanej pracy mięśni i maszyn, skowyt rozgniatanego żelaza, syk skołtunionej pary, zgarnięty w jedno: wysiłek tysiąca i tysiąca ramion ludzkich, czarnych dłoni chropowatych i lśniących kół maszyn, oraz szary trud szarego dnia — to wszystko oszałamiające piękno ludzkiej pracy.

Ziemia tu pozornie brzydka i przez Boga zapomniana. A jednak posiada tyle czaru, że nie sposób wyrazić go w mizernej mowie ludzkiej. Wystarczy przejść w głąb wysokiego ogrodzenia lub stanąć na szczycie pieca hutniczego, by dostrzec piękno oszałamiającej ludzkiej pracy. Oto za murami kołtuni się krzyczący zgiełk żelaza, maszyn i ognia. Syczą strumienie pary z wąskich wylotów, wyją rozśmigane koła i transmisje, zawodzą motory, zgrzytają walce i dźwigi, potworne młoty mechaniczne spadają z pod stropu na podstawione bryły żelaza, rozbijają je na miazgę, miesią jak ciasto, sypią wichurą iskier, stękają ludzkim głosem, a zduszone ich echa błąkają się przerażone po zaułkach huty. Wzdłuż przestronnych czarnych hal przepływają stężałe rzeki roztopionego żelaza, a biały ich żar rożega na ścianach i stropach krwawe pożogi. Z piekielnych wnęk wyciekają ruchliwe wstęgi płynnej szlaki, z nachylonych szyj pieców besemerowskich tryskają ryczące pióropusze rdzawo-niebieskich płomieni i biją pod niebo skośnym rzutem. Z rozwartych czeluści huczą sine płomienie, skręcają się w opętańcze wiry, rzygają rudem kłębiskiem dymów. Tam znowu gonią oszalałe smugi ognistych skrętów, trzaskają sobą po żelaznych płytach, przecinają mroki ognistymi biczami, zakreślają płomienne łuki i znikają pod wyjącymi walcami.

Czarni ludzie krzątają się wśród ognia i maszyn, przebiegają zdyszani ruchome kręgi świateł, toną w mrokach, wynurzają się z dymów, błyszczący potem jakby rudą oliwą wysmarowani. Czasem nad piecami, za pręcianą balustradą, między dymami pojawia się czarny kształt człowieka. Unurzany w krwistej pożodze, omotany zwojami iskier, błąka się po niewidocznych ścieżkach, daje jakieś znaki, podobny do tajemniczego maga, co złowieszcze zaklęcia nad ogniem sprawuje.

Czasem z pod wielkiego pieca rzygnie oślepiająca struga białego metalu. A potem już leci płaskim łukiem, spada w wygrzebany rów piaskowy, a niepojęty żar szerzy się, rozbiega coraz większą łuną, struga zaś sapie głucho, prycha białemi iskrami, kipi z wściekłości i marszczy się w szepleniące skibki.

A kiedy nocą wyjść na wysoki most czy wieżę i spojrzeć w mroki przed siebie, dojrzy się ogromną zamieć świateł, podobnych do nieprzeliczonego mrowia rudych pereł, rozsypanych po ciemnym atłasie.

Wszystko to jest piękne i urzekające w swej potędze.

I jeżeli zestawić teraz piękno Śląska Beskidzkiego i Śląska Białego z urodą Śląska Czarnego, powstaje pełny obraz potrójnego piękna, nie spotykanego już nigdzie na ziemi. Człowiek, ziemia i maszyny zjednoczyły się tutaj w obraz, podobny do uśmiechu młodej dziewczyny, gdy w zamyśleniu marzy o pierwszej miłości, do człowieka spracowanego, który przystanął na chwilę, by zetrzeć pot z czoła i do samotnego wędrowca, idącego białą drogą pod wysokiem niebem i pod szumiącemi brzozami.

Piękno ziemi śląskiej urzeka człowieka, oszałamia go, przemienia jego serce, ucisza i do Boga przybliża.
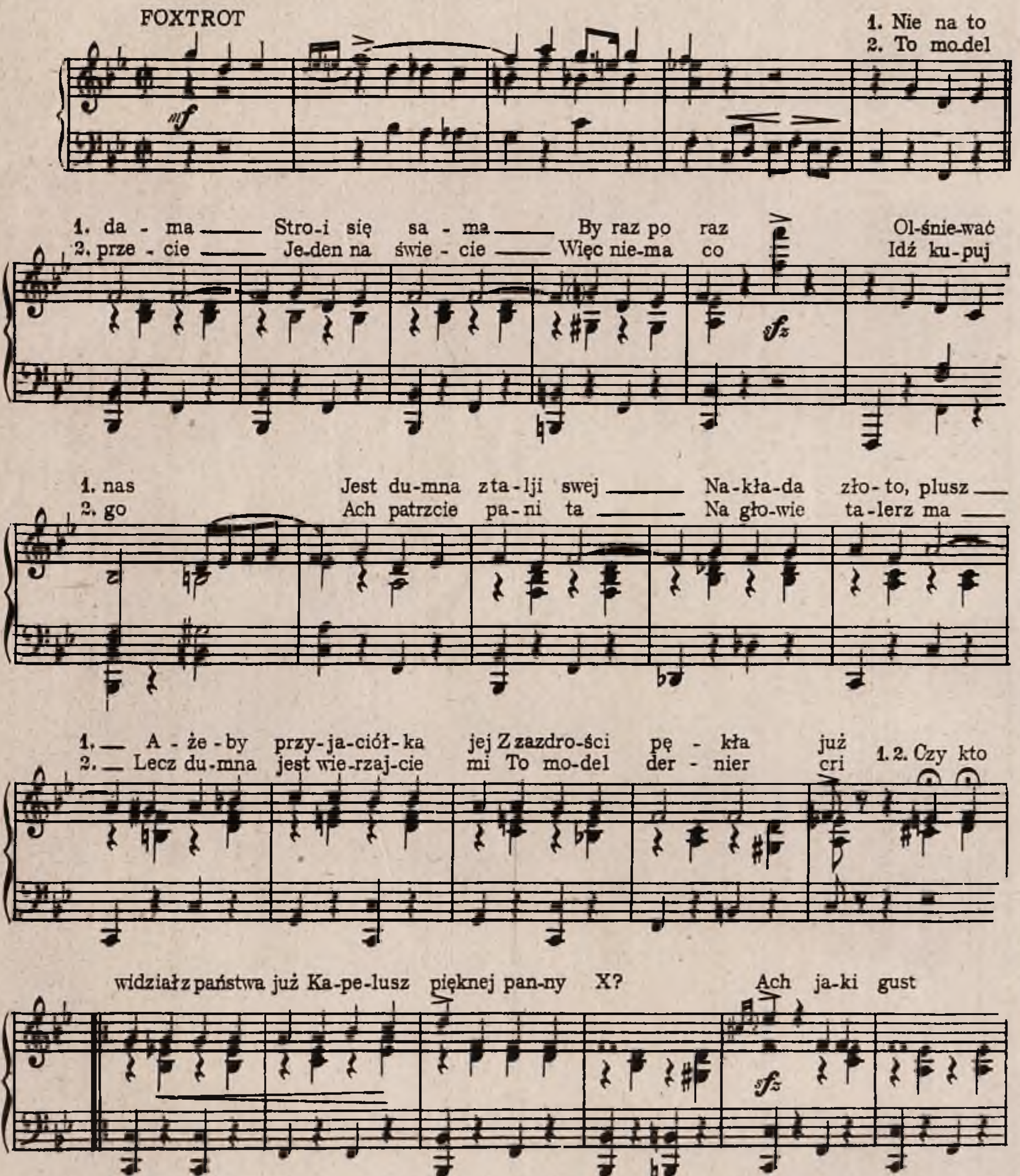


PRZEBÓJ MUZYCZNY „ASA"

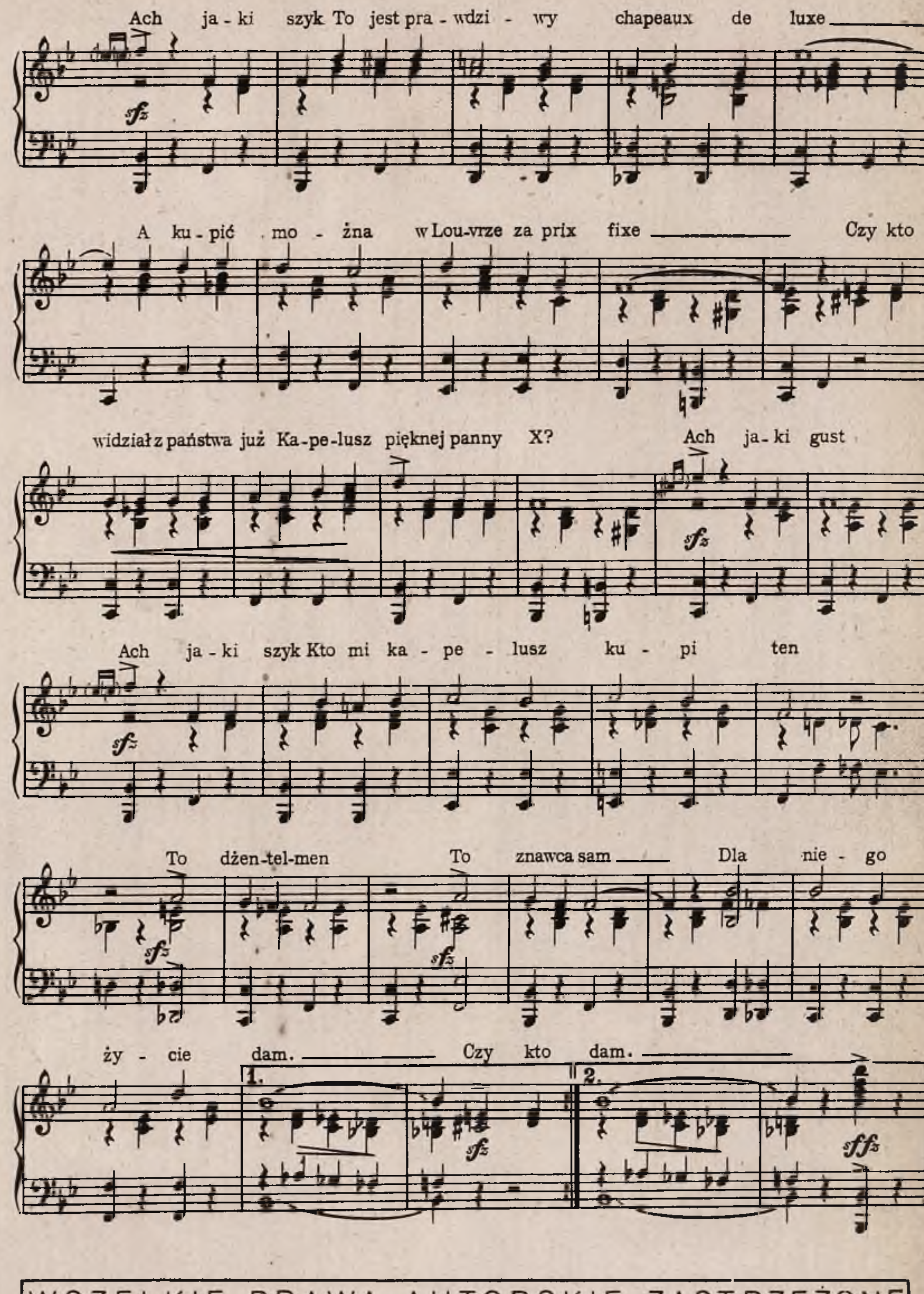
Kapelusz panny X.

Foxtrot z filmu „Błyszczące gwiazdy" Polskiego Tobisu

Słowa:
WINCENTY RAPACKI (syn)

Muzyka:
LEON LEUX





wiew, idący od morza, podczas gdy ze zwojów błękitnawej mgły wyłaniał się kraj dziki, skalisty, otoczony dziwnym czarem i urokiem.

— Patrz, Mariette — mówił, obejmując ramieniem szczupłą postać swej żony — to już Bretanja, to moje rodzinne strony!

I zdawało mu się, że usłyszał jej cichą, ledwo dosłyszalną odpowiedź:

— Tak, tak, poznaję ją!

Rzucił na nią z ukosa zdziwione spojrzenie, ale ujrzał twarz tak poważną i skupioną, że niepodobieństwem wydało mu się, żeby mogła wyrzec te słowa. Tylko w szeroko rozwartych oczach czaił się cień uśmiechu.

Na stacji czekał na nich mały, nowiutki Mercedes.

— No, jesteśmy u celu — zawołał wesoło Gaston, pomagając żonie wysiąść.

— Wiem, wiem — odparła, przecierając oczy i rozglądając się wkoło, jakby witała drogie, dawno niewidziane strony.

Do państwa młodych zbliżył się szofer w liberji z czapką w ręku.

— Pojedziesz z kuframi, ja sam poprowadzę maszynę — rzucił mu Gaston, otwierając drzwiczki, by przepuścić żonę.

Z pewnem wahaniem i nieśmiałością położyła mu Marietta dłoń na ramieniu.

— Gastonie, wiesz... nigdy jakoś nie wspominałam ci o tem, że i ja umiem prowadzić samochód... Skończyłam nawet kurs dla automobilistów...

Spojrzał na nią z uczuciem dumy, zmieszanej z rozczuleniem, nie bardzo wiedząc, do czego zmierza Najdroższa sawantka! I kiedy zdążyła to wszystko zrobić! W dwudziestym piątym roku życia była już doktorem filozofji, miała za sobą cztery lata pracy biurowej, teraz znów wychodzą niespodziewanie na jaw te kursa! Z zadowoleniem, pełnem poczucia męskiej siły i pewności pomyślał, że po tylu latach ciężkiej pracy czeka ją nareszcie dobry odpoczynek, że będzie mógł ją otoczyć dostatkiem i dobrobytem, którego tak długo była pozbawiona.

— Bardzo się cieszę, droga! Będziemy mogli odbywać razem ładne wycieczki!

— Gastonie, pozwól mi samej prowadzić auto, dobrze?

Zaskoczony tą niespodziewaną propozycją, drgnął cały, zwracając na nią zdziwione, prawie oburzone spojrzenie.

— Ależ, moje dziecko, nie myślisz chyba o tem poważnie — zaprotestował żywo. — Zapada już zmrok, niedługo będzie zupełnie ciemno, a droga jest trudna, prawie niebezpieczna. Ja sam będę jechał bardzo ostrożnie i powoli.

Żartobliwym, pobłażliwym tonem, jakiego używają często starsi w stosunku do dzieci, starał się zbagatelizować prośbę, udając, że jej nie bierze poważnie. Ale przekonał się zaraz, że się to na nic nie zdało. Marietta, ta cicha, potulna Marietta, umiała być uparta i nieustępliwa, gdy zależało jej na tem, by postawić na swojem.

— Proszę cię, Gastonie, bardzo cię proszę, zaufaj mi! Czuję, że dam sobie doskonale radę. Będę jechała wolno i nie narażę cię na żadne niebezpieczeństwo.

Gaston d'Estrées zawahał się. Trudną, bardzo trudną, prawie niemożliwą rzeczą jest powiedzieć „nie" kochanej kobiecie, gdy zwraca się ona ze swą pierwszą prośbą, ale z drugiej strony zdawał sobie jasno sprawę z tego, że słowo „tak" wyrzeczone w tych warunkach, było istnem szaleństwem. Co za pech narażać się na skręcenie karku właśnie w chwili, gdy życie staje się najdroższe i najbardziej nęcące!

— Rób, jak chcesz, Marietto — powiedział z rezygnacją — nie jestem zupełnie pewien, że wszystko pójdzie tak dobrze, jak sobie wyobrażasz, ale nie umiem ci niczego odmówić.

Podziękowała mu błyskiem rozpromienionych oczów i serdecznym uśmiechem.

— Dziękuję ci, kochany! Nie zapomnę ci tego nigdy!

— Jedźmy więc! Patrz, już się zupełnie ściemniło!

Naciągnęła z powagą rękawiczki, zasiadła przy kierownicy. Zanim ruszyła z miejsca, zwróciła ku niemu twarz prześwietloną dziwnem wzruszeniem.

— Jeszcze jedna prośba, Gastonie. Będę jechała wolno i bardzo uważnie — powtórzyła — ale... nie pokazuj mi drogi.

— Szalejesz, Mariette — zawołał z wybuchem, tracąc zupełnie głowę wobec tego nowego życzenia żony — szalejesz, albo nie zdajesz sobie sama sprawy z tego, co robisz i czego żądasz! Mamy przed sobą dwadzieścia minut dobrej jazdy, a droga, jak ci mówiłem, nie jest prosta i łatwa. Jakże więc chcesz trafić, jeżeli ci nie powiem, czy masz skręcić w prawo, czy w lewo, czy też jechać prosto?! Zastanów się sama, to dzieciństwo i kaprys, Mariette!

— Jeżeli pojadę w złą stronę, będziesz miał zawsze dość czasu, żeby mnie zawrócić. I przyrzekam ci, że jak się tylko raz omylę, słyszysz, jeden jedyny raz, oddam ci odrazu posłusznie i bez protestu kierownicę. Może to i dzieciństwo, ale mam dziwne przeczucie, że się nie omylę.

Auto skręciło i z cichym zgrzytem wsączyło się w cień.

To, co się stało potem, pozostało wyryte w pamięci Gastona na zawsze. Rzeczywistość stała się dla niego nagle mniej jasna i zrozumiała, niż senne przewidzenie. Marietta, która nie przekroczyła nigdy granic Francji, prowadziła samochód po nieznanych drogach, po wąskich serpentynach, brała trudne wiraże z twarzą skupioną i pełną natchnienia jakby, ale z tak spokojną pewnością siebie, z takiem opanowaniem, że napięte początkowo boleśnie w oczekiwaniu katastrofy nerwy Gastona odprężyły się niemal natychmiast. A nie pomyliła się przytem ani razu. Na skrzyżowaniach i przy rozwidleniu dróg wybierała bez wahania najkrótszą i najpewniej prowadzącą do celu. Jechali bez słowa, wsłuchani w swe przyśpieszone oddechy i nierówny, mocny rytm serca.

Kiedy z daleka zamajaczyły przed nimi ciemne kontury uśpionego parku, Marietta zmniejszyła jeszcze bardziej szybkość.

— To już — szepnęła jakby z ulgą.

— To już — powtórzył jak echo Gaston.

W milczeniu przejechali przez bramę, przybraną w zieleń i kwiaty, minęli świerkową aleję i zatrzymali się przed starym, uzbrojonym w wieżyce, baszty i strzelnice zamkiem, od którego biła łuna świateł, rzucających mdłe, wypłowiałe smugi na pobliskie trawniki, gazony i drzewa.

Wtedy ręce Marietty, zaciśnięte dotąd mocno i pewnie na kierownicy, rozluźniły się i opadły bezwładnie na kolana, niby w najwyższem wyczerpaniu.

Gaston pochylił się nad żoną i przez chwilę wpatrywał się w jej bladą twarz, o czole pokrytem kropelkami potu.

— Skąd ci to wszystko przyszło, Mariette? Skąd mogłaś znać tę drogę? — pytał zdławionym głosem.

Przesunęła białemi rękoma po twarzy, jakby odganiała od siebie precz jakieś natrętne niepokojące myśli.

— Nie wiem, nie wiem sama — szepnęła zmienionym głosem — ciągle mam jakieś dziwne wrażenie, jakbym już to wszystko kiedyś przeżywała, jakbym odnajdywała poprostu jakieś dobrze znane widoki, drogi i ścieżki...

— Dziwne — odpowiedział, nie odrywając od niej oczów — tak dziwne i niepojęte, jak nasza miłość.

Przed kamiennymi schodami stała służba, zgromadzona na przywitanie nowej pani. Gaston wskazał na starego, siwowłosego kamerdynera, trzymającego klucze na czerwonej, suto złotem haftowanej poduszce.

— To Pierre, o którym ci opowiadałem... służy w naszej rodzinie od lat pięćdziesięciu przeszło... Mnie na rękach wynianczył... Ojca mego w kołysce pamięta... Znał dziadków i prababkę... a w historji naszej rodziny orjentuje się znacznie lepiej ode mnie...

Mariette spojrzała życzliwie na staruszka i z nagłym skurczem serca spostrzegła, że przygląda się on jej z niezwykłą uwagą i natężeniem. Starcza jego twarz wyrażała wzruszenie, zmieszane z nawpół zabobonną trwogą.

— Czy pani margrabina życzy sobie obejrzeć swoją nową siedzibę? — zapytał uroczyście, gdy wzięła z jego rąk klucze.

— Chciałabym... chciałabym zobaczyć przedewszystkiem galerję portretów rodzinnych — powiedziała prawie niespodziewanie dla samej siebie.

Śmiałym krokiem weszła na schody, minęła sklepioną sień, zawieszoną dawną zbroją i trofeami myśliwskiemi, zatrzymała się dłużej przed rycerzem w stalowym pancerzu, z przyłbicą, nasuniętą na twarz i minąwszy główne wejście, skierowała się w stronę bocznych, spiralnie ku górze kręcących się schodów

— Nie tędy, Mariette nie tędy — zawołał Gaston ze śmiechem, poprzez który przebijał pewien zawód — omyliłaś się po raz pierwszy!

Nie zważając na przestrogę szła prosto przed siebie, smukła i zgrabna w swym podróżnym, angielskim kostjumie.

W połowie schodów zatrzymała się. Przesunęła ręką po dębowej boazerji, nacisnęła jakiś niewidoczny guziczek, poruszyła ukrytą sprężynę i oto... z głośnym zgrzytem rozsunęła się ciężka ściana, ukazując ciemny, wąski korytarzyk.

— Tajemne przejście — szepnął Gaston zdyszanym z wrażenia głosem — nie wspominałem jej nigdy o niem...

Stary kamerdyner pokiwał głową, niezdolny przemówić słowa.

— Że też danem mi było dożyć tej godziny — wyszeptał po dłuższej chwili, nie wiedząc sam, czy się ma cieszyć, czy smucić, czy trwożyć.

Dziwną tajemniczością powiało wkoło. A Marietta szła wciąż naprzód: rozsuwały się przed nią jedne drzwi za drugiemi, aż wreszcie znalazła się w długiej, rzęsiście oświetlonej galerji.

— Oto nasz przodek Armand — zaczął Gaston uroczyście, wskazując na pierwszy portret z brzegu, przedstawiający rycerza w błyszczącym pancerzu z ciężkim mieczem u boku — rycerz, o którym kronika...

Urwał nagle, spostrzegłszy, że żony już przy nim nie było. Kiedy ją dogonił, przebiegła znaczną część galerji, ledwo przelotnem tylko spojrzeniem zaszczycając wiszące rzędem portrety i stała już niemal na końcu przed portretem żony pięknego Ernesta d'Estrées, dzielnego generała napoleońskiego, który jako jedyną zdobycz z nieudanej wyprawy na Moskwę, przywiózł ze sobą żonę z dalekiej, północnej krainy.

Stojąc obok Marietty, podniósł Gaston mimowoli wzrok na prababkę i serce stanęło mu w piersi. Bo żona Ernesta d'Estrées, uśmiechająca się dobrotliwie z ciężkich ram portretowych i jego własna żona, wpatrzona w nią bez tchu, miały jedną twarz i jedną postać.

Rycerskim, pełnym wdzięku ruchem, którego nie powstydziłby się i przodek jego, Ernest d'Estrées, największy elegant i szarmant dworu cesarskiego, ugiął Gaston kolano, całując w niskim pokłonie małą, ciepłą dłoń swej żony:

— Miałaś słuszność, markizo — powiedział z udaną żartobliwością, choć w głosie drżały mu nuty prawdziwego wzruszenia. — Spędziłaś w tym zamku wiele lat swego życia... znacznie dłużej, niż ja. Znasz każdy kąt w tem starem zamczysku, każdą ścieżkę w parku i każdy zakręt drogi. Jesteś tu prawdziwą panią i dlatego też wierzę, że będziesz się w nim czuła dobrze i swojo!

Dokończenie ze str. 2-ej.

pąków rozkwitłych na śniegu. Jest ich coraz więcej, rozkwitają pod pendzlem coraz to nowe — coraz piękniejsze. Nareszcie poemat jest gotowy. Głęboka radość przenika całą jego istotę, odrzuca pendzel i patrzy pełen dumy na swoje dzieło.

W drzwiach staje Sun-Ling, stary jego nauczyciel.

— Patrz, co napisałem! — woła Wang-Tse — i zrywa się z klęczek.

— Oto mój poemat o miłości!

Sung-Ling pochyla nad papierem starczą, ubraną w czapeczkę, głowę i czyta. Nagle przestaje, twarz jego jest blada jak papier, na którym się czernią znaki pisarskie.

— Mylisz się Wang-Tse, mówi — to nie poemat o miłości, to wyrok śmierci na ciebie.

Teraz zkolei oniemiały Wang-Tse pochyla się nad papierem. Ale znaki tańczą mu przed oczyma. Zapada noc, a one rozbłyskują dziwnem światłem i lśnią w czarnej pustce, jak iskry sztucznych ogni noworocznych. Daremnie Wang-Tse ściga je oczyma, rozpryśnięte na tysiące. wiszą nad nim na czarnem tle nieba, jak drobny złoty pył.

Czuje przenikliwe zimno, rozwiera szerzej powieki — nam nim rozpięte wygwieżdżone niebo. Patrzy na gwiazdy.

— Nie, niemożliwością jest odczytać te znaki — myśli półprzytomnie — zostaną na zawsze nieodgadnione — i nagle niewiadomo dlaczego, przypomina mu się pełna rezygnacji sentencja w ośmiu znakach o przeznaczeniu, którą powtarzał często Sun-Ling jego nauczyciel.

Wszystko kołuje wokół niego, czyżby był pijany? Tam na wschodniej stronie nieba, to księżyc wschodzi zapewne. Opiera się na łokciu. Ostry ból przywraca mu pełnię świadomości.

— Czi-Len! — wstrząsa nim myśl, jak olśniewająca błyskawica.

Musi się dowiedzieć, co się z nią stało. Usiłuje wstać, ale bezskutecznie, pełznie więc mozolnie po szeleszczących źdźbłach suchej trawy, sycząc z bólu. Krew z napół zaschniętych ran zaczyna płynąć znowu i Wang-Tse słabnie zastraszająco szybko, nie zdążywszy dotrzeć nawet do drogi. Leży teraz bezwładny na zdrowym boku z rozwartemi oczyma, słaby, jak dziecko. Naprzemian owłada nim gorączka, to znów wstrząsają dreszcze.

Noc jest bezksiężycowa, blask na wschodniej stronie nieba pochodzi od pożaru. Na tle płonącego domu widać wyolbrzymioną sylwetkę człowieka. To niknie, to pojawia się znowu. Na drodze ciemnieją porzucone wozy. Głęboki smutek przenika Wang-Tse boleśniej, niż owe dwie rany, które palą go żywym ogniem. O jakże jasno zdaje sobie teraz sprawę z tego, że zwlekał niepotrzebnie! Miast poematu o miłości, napisał wyrok śmierci na siebie.

Znowu przypomina mu się pełna rezygnacji sentencja w ośmiu znakach o przeznaczeniu, która powtarzał często Sun-Ling, jego nauczyciel.

Zapada kędyś bezpowrotnie w otchłań wizja szczęścia, o którem marzył. Chwilami traci przytomność i wtedy zdaje mu się, że słyszy głos ptaka yan i widzi twarzyczkę Czi-Len. Nie rozumie tylko, dlaczego ona patrzy nań przez łzy. To znowu zdaje mu się, że jest w świątyni — i słyszy śpiewy bonzów, a z poza spowijających posąg dymów patrzy nań Budda z wszystkowiedzącym uśmiechem na twarzy.

Godziny płyną. Nad ziemią trwa wciąż czarna wygwieżdżona noc. Pożar dogasa.

Nad ranem Wang-Tse raz jeszcze odzyskuje przytomność. Udaje mu się dotrzeć do drogi.

Wstający dzień zastaje go zwróconego twarzą w kierunku domostwa Tangów. Podwórze jest puste, ale on tego już nie widzi.

KNOCK OUT

AUTORYZOWANY PRZEKŁAD HELENY HELLERÓWNY

WERNER RUSACK

NOWELA

Gdy Tom Roland wchodził na arenę, ażeby bronić swego tytułu mistrza przeciwko Jack'owi Jonson'owi, spojrzał nerwowo na zegarek.

— Dziewiąta i jedna minuta. Jak to ona powiedziała?

„Punktualnie od dziewiątej będę czekała w moim zamkniętym samochodzie przed „Pałacem Sportowym". Jeśli nie wyjdzie pan przed 9.10, odjadę i nie zobaczy mnie już pan nigdy".

Czuł, że ta kobieta, którą poznał onegdaj w kolei podziemnej, była jego przeznaczeniem. Musiał ją zdobyć. Gdy po tych kilku słowach jej smukła sylwetka przesuwała się pomiędzy współpasażerami, ażeby na następnym przystanku móc dostać się do wyjścia i jej piękne biodro, jakby przypadkiem musnęło jego rękę, omal nie porwał jej w ramiona i nie krzyknął z zachwytu.

Udało mu się jednak zapanować nad sobą. Tylko broda wysunęła mu się nieco naprzód i zęby zgrzytały, gdy mówił:

— Przyjdę. Może pani być tego pewna.

Ta odpowiedź wywołała, jak mu się zdawało, na jej twarzy lekki uśmiech, tak, że mimowoli zacisnął pięści.

A potem zniknęła w tłumie. Najpierw chciał pobiec za nią, a następnie przypomniał sobie swą jutrzejszą walkę z Jack'iem Jonson'em i nie ruszył się z miejsca. Podczas, gdy pociąg pędził pod ziemią, w jego głowie kotłowały się podniecone myśli. Ilekroć przejeżdżali przez krzyżujące się z sobą tory, czuł kłujący ból w krzyżach.

— Starzejesz się — mówił sobie. — Nie zdołasz w żaden sposób pokonać Jonsona w przeciągu tak krótkiego czasu, jak dziesięć minut.

Zwycięskie życie udzieliło mu z łaski ostatniej podniety w postaci owej nieznajomej kobiety. Obiecała czekać pomiędzy dziewiątą a dziewiątą dziesięć...

Zaczął się zastanawiać.

— Czy mam poprostu poddać się odrazu w pierwszej rundzie?

W takim razie, postąpiwszy jak tchórz, mógł o 9.10 przyjść do samochodu. Gdyby chciał natomiast zastosować przyzwoitsze metody, to walka musiałaby potrwać conajmniej pół godziny. Cóż znaczył dlań tytuł mistrza świata w porównaniu z tą kobietą!

Ale nie... Jonson w pierwszych rundach starał się jedynie o to, ażeby trzymać się w defenzywie. W czasie pierwszych pięciu rund nie rozpoczynał nigdy ataku.

— Nie pozostaje mi nic innego — doszedł do przekonania Tom — jak powalić go odrazu po uderzeniu gongu. Ale jak to zrobić? Twoje najlepsze czasy, Rolandzie, już minęły. Możesz jeszcze uzyskać z silnym jak dąb i młodym przeciwnikiem wynik taki jak „walka nierozstrzygnięta", lecz nic więcej, a cóż dopiero marzyć o szybkiem zwycięstwie...

Trenerzy Tom'a Roland'a załamywali ręce z rozpaczy, gdy zapaśnik biegał przez całą noc po swem mieszkaniu. Krążył z pokoju do pokoju i nie mogli pojąć, co go wprawiło w stan takiego podniecenia. Wreszcie nad ranem usiadł na krótki czas w fotelu i zamknął oczy. Ale przed jego oczyma tańczył obraz tej kobiety i nie pozwolił mu zasnąć ani na sekundę. Przez cały dzień nie odezwał się ani słowem. Wieczór o ósmej był rozgorączkowany, zroszony potem, zwalił się na łóżko i musiano go nacierać i masować.

— Muszę! — zawołał nagle, zerwał się i pojechał do „Pałacu Sportowego".

I teraz o dziewiątej jedna minuta stanął na arenie. Ani jeden okrzyk nie rozległ się na jego powitanie. Wszelkie zakłady opiewały 10 do 1 przeciwko niemu.

— Czekajcie — pomyślał, poprawiając rękawicę.

O 9 minut 2 Robby zawiązał opaski; o 9 minut 3 bandaże; o 9 minut 4 krótki ukłon w kierunku, w którym stał Jonson — ciężka bryła mięsa — i uśmiechał się z ironicznem współczuciem. 9 minut 5 dzwonek. Walka rozpoczęła się.

I teraz zaszło coś, w co żaden fachowiec nigdyby nie uwierzył. Roland skoczył jak byk, schylił kark, zabezpieczył się na lewo. przymknął oczy i zadał na prawo taki cios w serce, że w całym „Pałacu Sportowym" odbił się echem. Jonsona nie było już widać. Przeleciał przez sznury, jak kłoda drzewa. Jak deska opadł z trzaskiem na krzesła na widowni. Podniesiono go, ponieważ krwawił silnie. Sędzia na ringu zaczął liczyć. Przy ośmiu do jego stóp upadła biała chustka. Jonson został bezapelacyjnie pobity w pierwszej rundzie. Był niejako zdruzgotany.

— Knock out! — ryczał rozentuzjazmowany tłum i tupał nogami. Jonson stracił łaskę w oczach widzów tak szybko, jak został pokonany: w jednej sekundzie.

W uszach Rolanda niemilknące okrzyki. oklaski i tupania brzmiały, jak ogień karabinów maszynowych. Rzucił się w stronę garderoby, zerwał z wieszaka palto, spojrzał na zegarek. Była 9 minut 9...

Jak szalony przebiegł przez ciemny korytarz, wypadł na ulicę i dopadł samochodu. którego motor już warczał.

O 9-tej minut 9, sekund 59 szarpnął drzwiczki i osunął się na poduszki obok kobiety, poznanej onegdaj.

— Zwyciężyłem!

A potem otarł pot z czoła.

Podniosła rękę w białej rękawiczce.

— Jeszcze nie. Wpierw proszę posłuchać. Jonson jest moim mężem. Kocham go. Zakłady stały 10 do 1 dla niego. Potrzebujemy pieniędzy, dużo pieniędzy... Więcej, niż można uzyskać przy 10 do 1. Wobec tego postawiliśmy poprostu na pana, no i... plan mój powiódł się na całej linji!

Nacisnęła gumową piłeczkę.

— Proszę się zatrzymać!

Szofer otworzył drzwiczki. Wskazała na ulicę:

— Proszę, niech pan wysiądzie...

Roland wysunął się z wozu, zataczając się jak pijany, potknął się, upadł.

A tymczasem sprzedawcy dzienników przebiegali koło niego z nadzwyczajnemi wydaniami, a ponad jego sercem nieubłagane zwycięskie życie krzyczało: „Knock out! W pierwszej sekundzie knock out!".



NAJCZĘŚCIEJ PRZYCZYNĄ NIEMIŁEGO ODDECHU SĄ ZĘBY !

OTO JAK PASTA DO ZĘBÓW COLGATE ZWALCZA NIEMIŁY ODDECH I NADAJE ZĘBOM OLŚNIEWAJĄCY BLASK.

Próby dokonane wśród 2,152 mężczyzn i kobiet (różnego wieku i z różnych sfer) wykazały, że 76% ludzi w wieku powyżej 17 lat ma niemiły oddech, który zazwyczaj pochodzi z nieodpowiednio czyszczonych zębów.

Zwykłe sposoby czyszczenia zębów, polegające na czyszczeniu zewnętrznej powierzchni, zawodzą, gdyż chodzi o usunięcie psujących się resztek, które są po części źródłem niemiłego oddechu i zepsutych zębów.

Pasta do zębów Colgate, dzięki swej przenikającej pianie dociera do szczelin między zębami, usuwając resztki jedzenia i kwasów, powodujących niemiły oddech. Jednocześnie, delikatnie polerujące składniki pasty Colgate, łagodnie, lecz gruntownie, czyszczą emalię, nadając olśniewający blask Twym zębom. Czyść więc zęby pastą Colgate, przynajmniej 2 razy dziennie a staną się one czyściejsze i bielsze, a oddech Twój przyjemny i świeży.

DZIECI UWIELBIAJĄ JEJ ORZEŹWIAJĄCY SMAK.



10 minut gimnastyki





Pozycja, w której rozpoczynamy ćwiczenie pierwsze.
Na lewo: Figura z ćwiczenia drugiego.



Równowaga i opanowanie znaczą niezmiernie wiele w życiu, zarówno pod względem psychicznym jak i fizycznym. Ale jedno łączy się ściśle z drugiem, więc konieczność włączenia w zakres ćwiczeń gimnastycznych tego, co wyrabia równowagę i opanowanie mięśni i ich funkcyj życiowych, powinna być kardynalnem przykazaniem świadomych tych zagadnień ludzi.

Równowaga, to jeden z najważniejszych czynników gimnastyki. Wymaga ona koncentracji sił umysłowych i to w tym stopniu, aby współdziałanie mięśni było najdoskonalej zsynchronizowane z kierującą niemi wolą. Każdy muskuł powinien reagować natychmiast na najlżejszy nakaz woli. Tylko w takiem współdziałaniu dojść można do doskonałości, warunkującej równocześnie wzmacnianie równowagi psychicznej. Wypływa z niej wewnętrzne opanowanie, które uzupełniać należy poznaniem i opanowaniem mięśni jako wykładników funkcjonalnych naszego organizmu. Poczucie należytego ich funkcjonowania potęguje radość życia, której człowiek poszukuje nieustannie po jego bezdrożach.

Zapoznajmy się z serją ćwiczeń gimnastycznych, które służą do wyrobienia równowagi oraz opanowania systemu naszych mięśni.

Ćwiczenie I: Siadamy na ziemi i dla całkowitego uspokojenia organizmu oddychamy spokojnie i głęboko, wciągając powietrze przez nos i wydechując je przez usta. Teraz zginamy nogi w kolanach i wyciągamy ramiona wprzód. W tej pozycji przechylamy się nieco wtył, przyczem automatycznie nogi uniosą się wgórę, prostując się zwolna. Przechylając się coraz więcej, próbujemy nogi możliwie wysoko unieść pomiędzy wyciągniętemi ramionami i liczymy w myśli spokojnie i ze skoncentrowaną uwagą aż do 20. Z początku liczyć można szybciej, bo wytrzymanie równowagi jest w tem ćwiczeniu bardzo trudne. Dalszy bieg ćwiczenia jest taki, że rozciągamy nieco ramiona w bok, naśladując ten sam ruch nogami. Powracamy do pozycji zasadniczej tą samą drogą, jaką doszliśmy do punktu kulminacyjnego ćwiczenia.

Ćwiczenie to powtarzamy początkowo 2—3 razy — później więcej razy, a wypoczywamy po niem, wyciągając się leżąc na wznak i głęboko oddychając.

Ćwiczenie II: Spojrzawszy na rycinę, wyobrażającą to ćwiczenie, przypomnimy sobie znaną figurę z techniki łyżwiarskiej, podziwianą u mistrzyń tafli lodowej. Spróbujmy ją naśladować. W pozycji przysiadu ujmujemy prawą ręką prawą nogę od strony wewnętrznej, opierając się lewą ręką o podłogę dla utrzymania równowagi. Teraz unosimy nogę wyżej, na jakieś pół metra od podłogi, aby skupiwszy się utrzymać równowagę wyłącznie na lewej nodze, bo rękę prawą podnosimy od ziemi i wytrzymujemy tak licząc do 10-ciu, poczem spokojnie wracamy do pozycji wyjściowej. Kto potrafi tak trzykrotnie wykonać wskazane ćwiczenie, może już sobie pogratulować. Stanąwszy na nogach trzeba dla wypoczynku potrząść kolejno parę razy jedną i drugą nogą.

Ćwiczenie III: Mały skłon tułowia wstecz z rozkroku z wyciągniętemi wgórę ramionami. Można ćwiczyć, mając ścianę za sobą, a wtedy wspieramy o nią końce palców. Powtarza się to 8 razy.

Ćwiczenie IV: Skłon boczny tułowia z rozkroku w jedną i w drugą stronę, przyczem ręka od strony skłonu jest spuszczona, gdy drugą ugina się w łokciu i wznosi do góry. Na obie strony powtórzyć skłony po 6 razy.

Ćwiczenie V: Unoszenie uda w bok przez uchwycenie stopy dłonią. W początkowem ćwiczeniu można się opierać drugą ręką o ścianę czy szafę. Powtórzyć ćwiczenie po 6 razy dla każdej nogi.

Ćwiczenie VI: Silny skłon tułowie w bok przez pogłębienie ćwiczenia nr. IV z wyciągnięciem wolnego ramienia całkowicie wgórę. Wykonuje się go 6 razy.

Ćwiczenie VII: Silny skłon tułowia wstecz z rozkroku z dłońmi wspartemi na biodrach. Powtarza się go 6 razy.

Vera.

Życie
TOWARZYSKIE i ARTYSTYCZNE

RAUT W POSELSTWIE ŁOTEWSKIEM W WARSZAWIE





Poseł łotewski przy rządzie Rzeczypospolitej, p. Ekis, wydał z okazji 20-lecia niepodległości Łotwy wspaniały raut, na którym reprezentowane były sfery rządowe, wojskowe i dyplomatyczne, oraz świat towarzyski stolicy. Raut był pierwszem przyjęciem, jakie poseł Ekis wydał od chwili przybycia do Polski i stanowił niejako uwerturę rozpoczynającego się w Warszawie wielkiego sezonu towarzyskiego. W części koncertowej wieczoru wystąpiły: p. Olga Malkalne, laureatka konserwatorjum w Rydze, pianistka o doskonałej technice i dużej kulturze muzycznej i p. Elza Żebranska, primadonna opery ryskiej. Artystki, których produkcje były żywo oklaskiwane, przyjechały specjalnie na raut z Rygi. Na zdjęciach powyżej widzimy (od lewej): Posła Ekisa z małżonką, gospodarzy rautu oraz fragment przyjęcia — p. generałowa Stachiewiczowa, małżonka szefa sztabu głównego w rozmowie z podsekretarzem stanu w M. S. Z. hr. Szembekiem.

Fot. Magazyn „As".

Z MIĘDZYNARODOWEGO TURNIEJU TANECZNEGO



W marmurowej sali berlińskiego Zoo odbył się międzynarodowy turniej o mistrzostwo Europy w tańcu, w którym wzięło udział czternaście najlepszych par, reprezentujących dwanaście narodów. Na plan pierwszy wybijały się produkcje doskonałej pary angielskiej Wells-Sissons, która niejednokrotnie już zdobywała laury na międzynarodowych konkursach (Baden, Sopoty i in.). I tym razem Anglicy zdołali utrzymać w swych rękach mistrzowski tytuł, dystansując znacznie drugą zkolei najlepszą parę turnieju berlińskiego, małżeństwo Teypel z Wiesbadenu. Na zdjęciu obok: Para Wells-Sissons podczas „rundy mistrzów".

Fot. M. Schirner — Berlin.

NA POLSKICH SCENACH, SCENKACH I ESTRADACH



P. Wanda Krzyżanowska-Zakowska, wybitna śpiewaczka estradowa, wystąpiła ostatnio w koncercie radjowym rozgłośni poznańskiej, odnosząc pełny sukces artystyczny.

Fot. M. Ryś — Poznań.



Gościnne występy p. Ireny Ładosiówny, artystki Teatru Pomorskiego, która w imprezie Teatru Małopolskiego kreuje tytułową rolę w „Marji Stuart", cieszą się zasłużonem powodzeniem.

Fot. Z. Juris, Stanisławów.



Jeden z najwybitniejszych naszych aktorów i reżyserów, p. Wiktor Biegański, odznaczony ostatnio złotym Krzyżem Zasługi, wystawił w katowickim teatrze „Krawca w zamku", kreując rolę Księcia (na zdjęciu).



Publiczność teatralna przyjęła z żywem zadowoleniem powrót na scenę słynnej primadonny operetkowej, p. Elny Gistedt, która od trzech miesięcy święci triumfy w „Księżniczce czardasza" na deskach „Teatru 8.15".

Metamorfozy
KAPELUSZA PIĘKNEJ PANI

WIEK XIX.



ROK 1860.



ROK 1865.



ROK 1870.



ROK 1880.

Na temat żadnej części stroju kobiecego nie pisano i nie wygłaszano tylu uszczypliwych uwag, tylu złośliwości i kpin — ba, nawet płonących świętem oburzeniem poważnych zarzutów, co na temat kapelusza. „Moda bez nowości, gdyby najdziwaczniejszej, zatraca wszelkie swe wdzięki" pisano już w sprawozdaniach o modzie w r. 1822, a że to małe „coś", jakiem jest damski kapelusz najłatwiej daje się kaprysom mody urabiać i naginać, więc też sensaci i przeciwnicy wszelkich „zamorskich wymysłów" mścili się na tem biedactwu bez litości.

Ledwo tylko w witrynach modniarskich ukazuje się z początkiem sezonu najmodniejszy kapelusz, już stawia się mu zarzuty: a to, że wielki jak koło młyńskie, a to, że za mały, głowy dostatecznie nie okrywa; raz jest im za płaski, drugi raz za wysoki, raz „niepoważny", bo siedzi na czubku głowy, to znów ‚karykaturalny" — bo nosi się go wsunięty na czoło po same brwi. Raz przypominał kostycznym pamflecistom warzywny ogródek, kiedyindziej garnek, potem znów doniczkę, rurę od komina lub wręcz wronie gniazdo.

Nie można powiedzieć, żeby kobiety zbytnio się tem przejmowały. Kupowały nieustraszenie modne kapelusze, nic sobie nie robiąc z uszczypliwych uwag i kpiących komentarzy. Wiedziały bowiem, że mężczyźni sami nie wiedzą, co im się właściwie w kobiecie i na kobiecie podoba, i że często najżarliwiej krytykują i zwalczają to, co kobiecie daje największy czar. Znałam takich moralistów, co tomy pisali w zażartej walce przeciw wszelkim próbom upiększania się kobiet, co na stos skazywali wszelkie róże i pomadki, pudry i kredki, henny i ondulacje — a sami miękli notorycznie i nieuleczalnie na widok tych zdrożnych przyborów, umiejętnie zastosowanych przez osobę „płci odmiennej"...

Więc też i kapelusze „gdyby najdziwaczniejsze", znajdowały zawsze zwolenniczki i adoratorki, które zdawały sobie sprawę, że kapelusz nie musi być ani poważny, ani solidny, wystarczy, aby był „dowcipny" i zdobił w swoisty sposób główkę kobiecą.

Kapelusz — to kropka nad „i" całości stroju, to ostatni akcent, który — zależnie od kaprysu i fantazji — może być raz wykrzyknikiem, innym razem znakiem zapytania, kropką lub przecinkiem. Na to niema reguł. Pozorną dowolnością rządzi ten nieuchwytny szósty zmysł kobiecy, podszeptujący im najlepsze rady i pomysły. Kapelusz porównać można do dowcipnego „bon mot", którego nie można rozbierać i analizować, sprawdzać w słownikach i nicować na wsze strony; albo się zrozumiało jego pointę, albo nie i wtedy nie ma o czem dyskutować. Prawdziwy kapelusz „paryski" (niekoniecznie zresztą z pochodzenia!) kapelusz-kreacja, szanujący się model od dobrej modniarki, to właśnie takie „bon-mot", żarcik lub paradoks, czasem zresztą na bardzo poważny temat.

Tak, proszę państwa, mimo jego pozornej lekkomyślności i płochej opinji, kapelusz odegrał w dziejach ludzkości wcale poważną rolę i potrafił przejmować się najważniejszemi problemami swej epoki. U kolebki jego stały niejednokrotnie wojny i odkrycia, wynalazki i kataklizmy dziejowe, a jakże często historyczne osobistości! Można nawet zaryzykować twierdzenie, że wielki człowiek wtedy dopiero bywał pasowany na prawdziwie wielkiego, gdy imienia swego użyczył nowemu fasonowi kapelusza.

WIEK XX.



ROK 1910.



ROK 1915.



ROK 1920.



ROK 1930.

RYSUNKI: EWA LEO



Poniżej: Kapelusz z czarnego weluru z dużem podniesionem rondem.

Poniżej: Toczek z czarnego filcu, przybrany z przodu piórem.

Oryginalny toczek filcowy z główką z breitschwanzów w kolorze płaszcza, przybrany piórem z bażanta.



ROK 1938

Wiemy, że nosiło się „napoleonki", „rembrandty", czapeczki à la Lindbergh, „mussolinki" — a dziś nosi się kapelusze à la Chamberlain! W rewolucji kształtów kapelusza odzwierciedlały się najróżniejsze wypadki i zdarzenia: z początkiem wojny hiszpańskiej przyszły do mody sombrera, wystawa kolonjalna w Paryżu powołała do życia marokańską „szeszję", a niespokojne rządy frontu ludowego we Francji wskrzesiły modę kapeluszów ze strusiemi piórami, w jakich kochała się piękna i lekkomyślna Ma-

Dokończenie na str. 31-ej.



ZDJĘCIA: C. ANDERS — PARYŻ

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka obliczone na 3—4 osoby.

ZUPA POSILAJĄCA. (dla ozdrowieńców). W silnym rosole, nagotowanym z mięsa i jarzyn, rozgotowuje się małą, czerstwą bułeczkę, pokrajaną drobno. Następnie fasuje się zupę przez sito, dodaje zmielone mięso ugotowanego kurczęcia i dwie łyżki słodkiej śmietanki. Zupy nie należy powtórnie gotować, lecz przyrządzać ją na parze, tj. wstawioną z naczyniem do gorącej wody, aby nie wystygła i wylać gorącą na żółtko, roztarte z łyżeczką deserowego masła na talerzu. Dodatki do tej dość gęstej zupy są zbyteczne.

BRUKSELKA DUSZONA Z GRZYBAMI. Brukselkę, obraną z wierzchnich listków i twardych koniuszków, znajdujących się u nasady główek, płucze się pod bieżącą wodą, blanżeruje, tj. parzy ją wrzącą wodą, następnie gotuje bez przykrywania przez 10 minut i odcedza. Łyżkę świeżego masła rozpuszcza się w ryneczce, wrzuca odcedzoną z wody jarzynę, podlewa lekko mlekiem i dusi przez 20 minut, dodając osobno ugotowane i posiekane suszone grzyby (2 dkg) lub łyżkę grzybów konserwowanych w słoiku sposobem Wecka. Następnie poprósza się mąką, zasmaża i podlewa paru łyżkami słodkiej śmietanki. Zagotowaną ponownie jarzynę, podaje się otoczoną tartemi lub smażonemi ziemniaczkami.

KARP LUB SANDACZ W BESZAMELU. Oczyszczoną i wymytą rybę przecina się od głowy do ogona, wyjmuje kość grzbietową oraz mniejsze ości, nasala, składa z powrotem w całość na brytwance, polewa masłem i piecze w piecyku przy częstem polewaniu przez pół godziny. Upieczoną rybę umieszcza się na metalowym lub innym ogniotrwałym półmisku, otacza go tartemi ziemniaczkami lub włoskim makaronem, ugotowanym i przelanym zimną wodą, aby się nie kleił, polewa sosem beszamelowym (przepis poniżej) i zapieka w piecyku przez 15 minut, uważając, aby się sos po wierzchu zrumienił. **Sos beszamelowy:** Łyżkę masła i łyżkę mąki rozciera się na zimno, rozprowadza pół litrem kwaśnej śmietany, dodaje troszkę soli, cukru oraz tartej skórki cytrynowej, zagotowuje i podprawia paru żółtkami. O ileby się sos okazał za gęsty, można dolać ostrożnie troszkę rosołu lub mleka, uważając, aby był tak gęsty, by wylany na rybę pozostał na miejscu, a nie spływał na boki półmiska.

BAŻANT PIECZONY. Odleżałego po odstrzale przez kilka dni bażanta, obskubuje się z pierza, pozostawiając szyję i skrzydła nieskubane, celem ubrania pieczystego na półmisku, nie zapomniawszy wymyć i obsuszyć ich szybko nad ogniem przed użyciem. Osmalonego nad gazem lub spirytusem ptaka, wypatrosza się i wymywa w kilku wodach, soli i szpikuje pierś i uda gęsto młodą słoninką. Tak przygotowanego bażanta, nakłada się na rożen i piecze, smarując zęsto masłem. W braku rożna umieszcza się bażanta na brytwance, wyłożonej płatkami słoniny i piecze, smarując często masłem. W braku rożna umieszcza się 1—2 godzin, zależnie od wielkości i starości ptaka. Nie należy kłuć go widelcem dla próby czy gotowy, gdyż przez to traci sok i wysycha. Spróbować należy raczej przez wykręcenie uda, o ile da się łatwo skręcić, pieczyste jest gotowe. Ptaka tranżeruje się i składa w całość na podstawie wykrojnej z chleba i ułożonej jako spód, na półmisku. Przez szyję z głową przeciąga się silny drut, tak samo umocowuje się skrzydła i ogon i zaczepia o spód chleba, potem dopiero układa się części pieczystego tak, aby formowały całość; dookoła ubiera się półmisek zieloną sałatą i pietruszką. Sos z pod pieczystego podaje się osobno w sosjerce.

LEGOMINA Z JABŁEK. Do rondelka, natartego masłem, wsypuje się na palec wysoko warstwę tartego chleba lub bułki, na to daje się warstwę cienko krajanych jabłek, zmieszanych z cukrem i cynamonem oraz rodzynkami. Skropione masłem jabłka przykrywa się znowu tartą bułką, potem jabłkami itd., aż do zapełnienia rondelka. Legominę kropi się winem owocowem, przykrywa pokrywą, wstawia do gorącego piecyka, a po 20 minutach zdejmuje się pokrywę i piecze dalej, aż się wierzch zrumieni. Legominę przestudzoną wyrzuca się na półmisek i posypuje suto cukrem z wanilją. Podać ją można na ciepło, lub też zimną, wtedy pokryć ją można bitą śmietaną.

TORT LOTNIKÓW. 14 dkg orzechów laskowych praży się na patelni w gorącym piecyku, następnie wysypuje na ściereczkę i wyciera aż cała łupka z nich zejdzie i pozostaną czyste białe orzechy, które się miele. 14 dkg masła uciera się na pianę, potem dodaje się 5 dkg zmiękczonej w cieple czekolady, 4 żółtka, 14 dkg cukru, wkońcu zmielone orzechy, pianę z 4 białek i 4 dkg pokruszonych lub stłuczonych biszkoptów. Masę to piecze się przez 40—45 minut w miernym piecu. Na drugi dzień przecina się tort za pomocą nitki na trzy części i przekłada pianką morelową, utartą z 2 łyżek marmolady i 1 białka oraz łyżki mączki cukrowej. Te trzy dodatki uciera się tak długo aż utworzy się gęsta, biaława piana. Wierzch pokrywa się również pianką i posypuje gryfażem.

Sc. Ko.

NOWOŚCI GOSPODARSTWA DOMOWEGO



Każda gospodyni narażona jest nieraz na „złośliwości" rzeczy martwych. Tak np. flaszka z oliwą zawsze nieomal jest tłusta, bo trudno nalewać oliwę, aby nie uronić jednej kropli. Zaradzono temu stanowi rzeczy, sporządzając specjalny korek, który widzimy na naszem zdjęciu, pozwala on bez wylewania choćby odrobiny zawartości posługiwać się flaszką.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 49

Listopad

30 dni



NIEDZIELA 27 Waleriana	Bulion z jajem. Paszteciki z móżdżkiem. Bażant z rożna. Kompot. Tort lotniczy. Kolacja: Wędliny z sosem tatarskim.
PONIEDZ. 28 Zdzisława	Zupa kalafiorowa przecierana. Faszerowana papryka. Zrazy zwijane z grzybami z makaronem. Legomina z jabłek. Kolacja: Wątróbka à la minute z kaszą.
WTOREK 29 Saturnina	Rosół z makaronem. Sztuka mięsa z ćwikłą. Kuropatwy po polsku z kluseczkami. Naleśniki z serem. Kolacja: Kotleciki z kalafiora.
ŚRODA 30 Andrzeja ap.	Zupa fasolkowa przecierana. Kapuśniaczki drożdżowe. Pieczeń sarnia z brusznicami i makaronem. Budyń orzechowy. Kolacja: Dorsz w sosie sardelowym.

Grudzień

CZWARTEK 1 Eligiusza b.	Zupa z zielonego groszku /z puszki/. Smażona nóżka wieprzowa. Klops z mięsa mieszanego z sałatą z czerwonej kapusty i fasolki. Jabłka w szlafroku. Kolacja: Ravioli /pierożki z szpinakiem/.
PIĄTEK 2 Bibiany, Aurel.	Zupa grzybowa z perłówką. Makaron z serem zapiekany. Karp w beszamelu z ziemniaczkami. Budyń bułkowy z szodonem. Kolacja: Flondry wędzone.
SOBOTA 3 Franciszka Ks.	Zupa jarzynowa purée. Płucka w sosie cytrynowym. Mostek cielęcy lub barani z marchewką. Kompot. Kolacja: Śledź marynowany - pieczone ziemniaczki.



HOCKI-KLOCKI

W NOWOBUDUJĄCYM SIĘ DOMU.



— Zdaje się, żeśmy pomylili przepisy: z piaskowca zrobiliśmy babkę, a z kremu ścianę domu! **(„Rire")**

Dokończenie ze str. 29-tej.

rja Antonina, w burzliwym okresie fermentów społecznych przed rewolucją francuską. Pomonachijską „wolę pokoju" dzisiejszej Europy zaakcentował reprodukowany w pismach „kapelusz pokoju" królowej angielskiej Elżbiety, ozdobiony symbolicznymi gołąbkami.

A słynny kapelusz królowej Mary, czyż nie stał się niejako symbolem Brytyjskiego Imperjum, jego niewzruszonego konserwatyzmu i zamiłowania tradycji?!

en efemeryczny tualetowy drobiazg wykazuje — jak widzimy — szerokie możliwości. Potrafi być frywolny i prowokacyjny, majestatyczny i pełen godności, zaczepny i wojowniczy jak bojowy okrzyk i sentymentalno-pasterski — wzruszający i poetyczny. Nietrwały i lekki niejednokrotnie jak piórko, które go zdobi, zależny od byle podmuchu i kaprysu mody, potrafi czasem odegrać poważną rolę, a nawet — stać się problemem (np. w pożyciu małżeńskiem!). Zmienia się jak kameleon, to obciska głowę jak średniowieczny hełm, to zsuwa się nonszalancko na tył głowy; raz używa skrzydeł do zamanifestowania swych „wzniosłych" tendencyj, innym razem opada melancholijnie miękką frendzlą smutnej pleureuse'y lub wiosennymi kiściami kwiatów. W tym roku na odmianę zagląda figlarnie w twarz swej właścicielki, opadając kokieteryjnie na jej prawe oko, odsłaniając natomiast całkowicie wysoko podczesane włosy i loki fryzury.

Jedno trzeba mu przyznać: jest niewyczerpany w pomysłach, zawsze pełen fantazji i przedsiębiorczości. Odzwierciedla gusta i tendencje swej epoki — harmonizując z jej stylem i ogólnym wyrazem, karykaturyzując go nieraz w sposób lekki i żartobliwy. Wiele można mu zarzucić, ale niesposób nie przyznać mu wdzięku: kto go nie dostrzega, tem gorzej dla niego, gdyż nic nie wskazuje na to, aby kobiety miały się wyrzec tego finezyjnego cacka na rzecz bogobojnego i solidnego, pozbawionego fantazji i dowcipu nakrycia głowy, które zadowoliłoby może surowych moralistów, ale też nikogo poza nimi!

Lady Like.

Rozwiązania z Nru 47-go.

PROFESOR UŁAMEK W POCIĄGU.

Pociąg jadący z Krakowa do Warszawy miał 70 m długości.

PIENIĄDZE.

Antek miał $6^1/_4$ zł, a Dodek 5 zł.

W OBOZIE.

	Kart.	Pion.	Trop.	Kart.	Pion.	Trop.
Lwy	30	3	8	27	4	10
Tygrysy	4	20	9	5	18	12
Niedźwiedzie	6	12	10	8	15	9

	Kart.	Pion.	Trop.	Kart.	Pion.	Trop.
Lwy	3	24	14	24	5	12
Tygrysy	21	6	8	6	16	15
Niedźwiedzie	16	7	9	10	18	8

Oto 4 z możliwych rozwiązań, według których pionierkę wybrało 20, 18, 6 lub 16 Tygrysów.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

GODZINA.

„Heniu, która godzina?" — zapytała Zosia brata.

„Gdybyś mnie zapytała 24 minuty temu — odpowiedział Henio — byłoby tyle minut po 10, ile jest teraz do 8 minut przed 12-tą. Zosia obraziła się na Henia i pobiegła do stołowego pokoju zobaczyć, którą godzinę wskazuje zegar. Która była godzina?

GAWRONY W OGRODZIE.

Do ogrodu pana Skowronka zleciały się gawrony. Chcąc wypędzić ptaki z ogrodu, pan Skowronek wystrzelił dla postrachu z dubeltówki. Skutek był taki, że tylko połowa gawronów odleciała, a jeden myśląc widocznie, że niebezpieczeństwo już minęło, powrócił. Rozłoszczony pan Skowronek wystrzelił jeszcze raz i znowu połowa ptaków odleciała, a jeden powrócił. Gdy pan Skowronek przeliczył ptaki w ogrodzie, zauważył, że po wystrzale było ich tyle samo, co i przedtem. Ile było gawronów w ogrodzie, nim pan Skowronek zaczął strzelać?

W POCIĄGU.

W pociągu Warszawa—Poznań jadą: maszynista, konduktor i palacz, o nazwiskach Kowalski, Piotrowski i Zawadzki oraz pasażerowie: dr Kowalski, dr Piotrowski i dr Zawadzki. Dr Kowalski mieszka w Warszawie, konduktor mieszka dokładnie w połowie drogi między Poznaniem a Warszawą. Pasażer o nazwisku konduktora mieszka w Poznaniu. Dr Piotrowski zarabia 12.500 rocznie, a pasażer mieszkający najbliżej konduktora zarabia dokładnie 3 razy więcej niż konduktor. Zawadzki wygrał w domu od palacza partję szachów. Jak nazywa się maszynista?

NIESPODZIEWANY SKUTEK.



— Widzisz Marysiu, co się zdarza, gdy się nie sprząta porządnie pokojów! **(„Ric-et-Rac")**

O tak! — to warto

zobaczyć... przeczytać... usłyszeć...



NA SCENIE

WARSZAWA. W Teatrze Kameralnym pod dyrekcją K. Adwentowicza wystawiono sztukę zeszłorocznego laureata Nobla, Roger Martin du Garda p. t.: „Rodzeństwo Thierry". Adwentowicz znalazł w niej pole do popisu aktorskiego. Sztuka ta posiada sceny pełne napięcia, przyczem autor ciekawie oświetla psychikę swoich bohaterów.

KRAKÓW. Na pierwszy występ gościnny wybrała Stanisława Wysocka sztukę graną w ubiegłym roku w Warszawie (również z Wysocką) p. t.: „Rodzina Whiteoak'ów". Świetna artystka gra tym razem 101-letnią babkę. Z innych wykonawców należy wymienić pp. Klońską, Brachocką, Ruszkowskiego, Opalińskiego, Burnatowicza, Mrozewskiego, Possarta.

NOWE KSIĄŻKI

Ant. Marczyński „Syjon podminowany". Wydawnictwo Gustowski i Wojciechowski, Poznań.

„Polski Wells" jak jeden z krytyków nazwał Antoniego Marczyńskiego, — wystąpił ostatnio z nową powieścią, która należy, jeżeli chodzi o dynamikę fabuły, do jednego z lepszych jego utworów. Tło niezwykle wdzięczne: Palestyna! Ta dziwna Palestyna, którą znamy wszyscy ze szkoły, z historji rzymskiej i nauki religji, ale która od czasu wielkiej wojny zmieniła zupełnie swoje oblicze. Przestała być tą senną, biblijną krainą, żyjącą tradycjami tysiecy lat, bez przemysłu, bez większych miast, zakopana za górami, lasami i morzami. Palestyna stała się atutem w olbrzymiej grze politycznej i negocjacjach handlowych Wielk. Brytanji i eo ipso weszła w orbitę interesów wszystkich narodów i krajów. A przytem rozbudzony nacjonalizm żydowski i arabski stworzył tutaj olbrzymie ognisko zapalne: Palestyna konkuruje dzisiaj śmiało z przysłowiowymi Bałkanami. Na tle tych właśnie zmian, na tle imigracji polskich i niemieckich Żydów i walk ich z Arabami, snuje się ciekawa nić akcji, wypływająca raz po raz jak pod ziemią płynąca rzeka, która wylewa na łąkach, by znów skryć się w jakiejś szczelinie ziemi. Oczywiście, że nie brak tu również działalności angielskiego „Intelligence service", który „opiekując się" mieszkańcami Palestyny, umie mądrze zaaranżować walki między dwiema narodowościami tej ziemi, wyciągając z tych zamieszek takie czy inne korzyści dla imperjum brytyjskiego. Dziwny splot wypadków wciąga w te skomplikowane drogi życia, jakiemi kroczą Żydzi i Arabowie oraz synowie Albjonu, również Polaka, Piotra Larskiego, urzędnika salin, który posądzony o zamordowanie Araba, poznaje z autopsji tamtejsze stosunki... od strony podszewki. Kochliwa panna Sal, Żydówka berlińska, demoniczna nieco, jak każdy szpieg, Lidja, różne drugoplanowe postacie grające rolę w tych splotach wypadków, urozmaicają „krajobraz akcji" cechami, które wnoszą na ziemię palestyńską ze swych europejskich macierzystych krajów. Wśród typów tych nie brak też polskiego Żyda-tragarza, którego „szmoncesowe" odezwania wypadają w chwilach, w których ważą się losy Larskiego. Duża znajomość kraju, ciekawe opisy i żywa akcja składają się na ciekawą książkę, która tembardziej jest na czasie, że rozgrywka palestyńska jest — jak się zdaje — dopiero w początkowem stadjum. **JGM.**

Edm. Schopen: „Morze Śródziemne areną dziejowych rozstrzygnięć". Książnica-Atlas, Lwów-Warszawa.

Nieduża, ale bardzo t r e ś c i w a książka, — takie małe vade-mecum badacza dzisiejszych powikłań międzynarodowych. Morze Śródziemne w ciągu wieków, będąc kolebką wielkich kultur, które złożyły się na obecny obraz cywilizacji europejskiej, kolejno było „prywatnem" morzem różnych potęg, by obecnie stać się kardynalnem zagadnieniem włosko-angielskiem. Czy stanie się ono „mare nostrum", czy też zachowa i wzmocni swój charakter angielskiej drogi łączącej „centralę" Wielkiej Brytanji z „prowincją" — Indjami, na ten temat właśnie snuje autor niemiecki przypuszczenia, zaznaczając, że słowa: pokój czy wojna — ustawicznie rozbrzmiewają nad tem morzem. Po okresie spokojniejszym, okresie jakichś paktów czy układów, przychodzi znowu okres pogróżek i możliwości wojny. — Książka Schopena interesuje i z tego powodu, że dla polskiego czytelnika dał autor specjalną przedmowę z pełnemi kurtuazji słowami dla polityki zagranicznej Polski, a wydawca dał posłowie, słusznie zaznaczające, że wiele kardynalnych tez Schopena jest zarazem zasadniczemi tezami rządu hitlerowskiego. Pomimo tego nastawienia, książka posiada wielką wartość jako przejrzysta historja Morza Śródziemnego i wnikliwe opracowanie dyplomatycznych gier i historycznych wypadków współczesnych, jakie rozgrywają sie nad jego brzegami. **W. Z.**

Teatr Polski Żywej". Książnica-Atlas, Lwów-Warszawa.

Ciekawie redagowana p r z e z prof. Bol. Pochmarskiego serja utworów dramatycznych „Teatr Polski Żywej", w której znalazło się już i „Betlejem" Rydla i „Gałązka rozmarynu" Nowakowskiego, powiększyła się o dwa nowe tomiki: regjonalne widowisko **M. Mikuty „Legenda o karczmarzu Centorji"** na tle znanej legendy ludowej z okolic ujścia Dunajca do Wisły oraz **Feliksa R. Bursy „Jak Jędruś wójtem ostoł"**, sztukę ludową o-nutą na tle wydarzeń w r. 1920. W obu tych utworach, nadających się świetnie dla scen ludowych i szkolnych, wprowadzili autorzy mnóstwo pięknych pieśni i obyczajów naszej wsi. Uwagi inscenizacyjne, nuty do piosenek i szkice kostjumów i dekoracyj, załączone do obu tomików, mogą przyczynić się do wystawienia sztuki, ułatwiając pracę reżysera i inscenizatora. **W. Z.**

ODPOWIEDZI REDAKCJI

PAN W. Z SOSNOWCA: Jest to płatny serwis amerykańskiego wydawnictwa „Esquire", z którego korzysta cały szereg pism europejskich.

NAJLEPSZE AUDYCJE POLSKIEGO RADJA

Niedziela, 27 listopada.

12.03 Poranek symfoniczny z Katowic.
13.00 Wyjątki z Pism Józefa Piłsudskiego.
13.15 Z naszych stron — muzyka obiadowa ze Lwowa.
16.30 Recital skrzypcowy Wacława Niemczyka.
17.30 Koncert rozrywkowy Małej Orkiestry P. R.
22.00 „Woltyżerka Dropsy Mops" — Wesoła Syrena.
22.40 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, 28 listopada.

15.00 Słuchowisko dla młodzieży — „Bartłomiej Nowodworski — założyciel najstarszego gimnazjum w Polsce".
15.30 Muzyka obiadowa ze Lwowa.
17.35 20-lecie Marynarki Wojennej: przemówienie kontr-admirała Jerzego Świrskiego, Szefa Kierownictwa Marynarki Wojennej; piosenki marynarskie.
21.15 Wanda Landowska — klawesyn — koncert z płyt.
22.00 W wigilję rocznicy Powstania Listopadowego — koncert.

Wtorek, 29 listopada.

15.30 Muzyka obiadowa z Katowic, w wykonaniu E. Röslera.
19.00 Muzyka polska w wykonaniu Małej Orkiestry P. R.
21.00 Koncert Polskiego T-wa Muzyki Współczesnej. — Transmisja z Konserwatorjum.
22.00 „Temperamenty" — powieść mówiona Cwojdzińskiego.
22.15 „Andrzeju, Andrzeju, wosk na wodę leją" — aud. muz.

Środa, 30 listopada.

11.25 Arje operetkowe w wykonaniu R. Taubera (płyty).
15.30 Muzyka obiadowa z Wilna.
18.40 Dyskutujmy: „Plusy i minusy rekordów sportowych".
21.00 Recital chopinowski Zygmunta Dygata.
22.00 Koncert wieczorny w wykonaniu Orkiestry P. R.

Czwartek, 1 grudnia.

15.30 Muzyka obiadowa Małej Orkiestry P. R.
16.35 Recital fortepianowy Józefa Smidowicza.
19.00 Koncert rozrywkowy z Krakowa.
21.10 Recital śpiewaczy Ignacego Dygasa.
22.00 Najpiękniejsze kwartety i kwintety klasyków wiedeńskich.

Piątek, 2 grudnia.

15.30 Muzyka obiadowa z Łodzi.
16.30 Miniatury kwartetowe, koncert z Krakowa.
18.30 Teatr Wyobraźni: „Powrót", w/g noweli Conrada.
18.55 Koncert rozrywkowy Małej Orkiestry P. R.
21.15 Transmisja opery z Paryża.

Sobota, 3 grudnia.

15.30 Muzyka obiadowa z Poznania.
17.00 Nabożeństwo z Kaplicy Matki Boskiej Na Jasnej Górze w Częstochowie.
19.50 Melodje węgierskie — audycja muzyczna.
21.00 Humor i muzyka — koncert rozrywkowy.
23.15 Muzyka taneczna z płyt.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych materjałów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.